

W numerze: Biała śmierć czyli narkotyki ■ Fragment najnowszej historii czyli o Służbie Polsce ■ Dziwny mecz piłki nożnej ■ W celi i w bitwie ■ Trzy głosy o polskiej prapremierze „Zwłoki” Dürrenmatta ■ Człowiek na krawędzi ■ Czas na przebudzenie czyli plenery filmowe.

kódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



NR 19 (1065) ROK XXI

7 MAJA 1978 R.

CENA 3 ZŁ



Foto: Gerard Puciato

BOGDA MADEJ

AJENT NARUSZA STRUKTURĘ

CZYTAJ NA STRONIE 6

JERZY URBANKIEWICZ

KLUCZ DO TAJEMNIC ŻYCIA

Życie ma swoją ogromną, najwyższą wartość, bez względu na to, czy umiemy powiedzieć, czym ono jest. Gdyby umotywić każde działanie żywego organizmu, to okazałoby się, że w łańcuchu przyczyn i skutków chodzi ostatecznie o ochronę, o zachowanie życia. I również ostatecznie ten cel przyświeca uczonym wszystkich czasów, jeśli starają się wniknąć w istotę życia, odpowiedzieć na pytania, jak to się dzieje, dlaczego się dzieje, że organizm przejawia aktywność, jak to się dzieje, że w pewnym momencie ta aktywność ustaje. Wielka Encyklopedia Powszechna sili się na definicję: „Życie, podstawowa właściwość wszelkich organizmów roślinnych i zwierzęcych, wyróżniająca je swą dynamiką od przyrody martwej, nieożywionej; podłożem życia jest cytoplazma i substancja jądrowa każdej komórki”. Biologowie dążą do uściślenia tych pojęć, starając się odpowiedzieć na pytania: jak się zachowuje komórka i dlaczego ulega pewnym zmianom. Dlaczego pełni pewne funkcje normalne, życiowe, tzn. kurczy się, wydziela coś powodując, że działamy, jesteśmy czynni, albo, że odczuwamy coś — radość lub apatię, albo ból, że wreszcie komórka odmawia pełnienia właściwych sobie życiowych funkcji, co my, żywy organizm odbieramy jako chorobę. Jak wreszcie świadomie sterować procesami zachodzącymi w organizmie, by usunąć nieprawidłowości i sprawić, że komórka pełnić będzie właściwą sobie rolę. By przejść od tych pytań ogólnych do bardziej szczegółowych, a bliskich rozumieniu, a co najmniej wyobrażaniu sobie przez przeciętnego człowieka, postawmy pytanie może brutalne, ale życiowo ważne dla ogromnej ilości ludzi — co to znaczy „komórka rakowa”? Przecież poznać proces rozwijania się raka w organizmie, to znaczy — znaleźć środki zapobiegania. A jest to jedna z największych tęsknot dzisiejszego człowieka.

Grupa biologów rozsiadanych po całym świecie wniknęła w mechanizmy życiowych funkcji ustroju tak dalece, że wyodrębniła związki o bardzo wysokiej aktywności biologicznej, które regulują wiele funkcji ustrojowych. Związki te noszą nazwę amin biogennych, należą zaś do nich — adrenalina, acetylogolina, dopamina, serotonina i histamina. Zwłaszcza ta ostatnia przyciągnęła uwagę uczonych tak dalece, że połączyli się w ogólnoświatowy zespół, zwany Klubem Histaminowym, by wzajemnie sobie pomagając, wykryć tajemnice jej działania bez reszty, a dzie-

ki temu przybliżyć moment, kiedy człowiek wiedząc, stanie się panem samego siebie.

JAK DZIAŁAJĄ AMINY BIOGENNE

Kierownik Zakładu Amin Biogennych PAN, prof. dr Czesław Maśliński, ujął to lakonicznie tak: „Komórka z komórką rozmawia przy pomocy amin i ich metabolizmów (metabo-

Dalszy ciąg na str. 3

DYREKTOR ZBYSZKO

Dziwna rzecz z tą telewizją! Ogląda człowiek starannie przygotowane przez Zespół krakowski widowisko Dawida Storeya „Jubileusz”, aktorstwo wysokiej próby, zwłaszcza Blichczycki i Sadecki świetni. Tekst zalicza się również do dobrych, a jego autora wymienia się w czołówce współczesnych dramaturgów brytyjskich. A zatem komponenty spektaklu bez zarzutu, przyprawione ze smakiem, a przecież nie sumują się w całość, która ewokowałaby u widza silniejsze przeżycie.

Jakiś ten cały konflikt wydumany, a komplekсы rodzinne dla nas tak odległe. Przeciwnie polska rodzina przeżyła na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci z gruntu inne komplikacje. Wojna, okupacja, potem trudne lata odbudowy pokojowego życia, dla wielu problem odnalezienia się w zmienionej całkowicie strukturze społecznej i związanej z nią nowej obyczajowości, wreszcie rozmaite wstrząsy i meandry... Tak, z pewnością całkiem odmiennie, niż u Storeya wyglądałby jubileusz małżeński w polskim robotniczym domu!

Dzień później telewizja nadała cykliczny program publicystyczny „Wszystko za wszystko”. Tym razem bohaterem wieczoru był dyrektor wielkiego i powszechnie znanego zakładu przetwórstwa warzyw i owoców

„Pudliszki” — Zbyszko Trzeciakowski. Dyrektor nie jest aktorem, nie miał do odegrania roli w zresztą wymyślnym scenariuszu, miał po prostu być sobą. Nie grać, tylko być. I, o dżwól! Właśnie ten program, dotyczący puszkiwarstwa (tak to się, zdaje się, nazywa) i konserwowania zielonego groszku, sposobu bycia dyrektora na co dzień, jego stosunku do obywateli, do otoczenia, zamłowań muzycznych, wreszcie uroczego hobby, jakim są codzienne intensywne wycieczki rowerowe pana Trzeciakowskiego, oto właśnie ten program — pozornie całkiem zwyczajny — zabłysnął na naszych ekranach fascynująco i spełnił rolę nie tylko pouczającą, ale także — i to przede wszystkim — rozrywkową.

Nie wiem, jak inni telewizywiści, ale ja, choć włączyłem się w śledzenie tego programu bez przekonania, ot, na parę minut, wkrótce dałem się panu Trzeciakowskiemu tak zawojując, że z prawdziwą satysfakcją uczestniczyłem w tym telewizyjnym spotkaniu do samego końca. Zadawałem sobie później pytanie, w czym tkwiła wielka atrakcyjność tej rozmowy z dyrektorem, jakich zapewne wielu. No, tak, wielu! Ale równocześnie pan Zbyszko (nie wziąłby mi chyba za złe takiej poufalskości!) posiada własną, nie-

standardową indywidualność, której potrafił dać wyraz przed kamerami.

O wiele częściej mamy okazję spotkać się z dyrektorami, albo oficerami, podoficerami i szeregowcami naszego przemysłu w innych okolicznościach. Nie odprężeni, przeciwnie spięci wewnętrznie i pożerani przez trzęmę recytują odpowiedzi na pytania reportera, jakby wygłaszali wyuczoną lekcję. Padają liczby, ilości ton, czy metrów wyprodukowanego towaru, ale nie dowiadujemy się nic o prawie nic o ludziach, którzy nas o efektach swojej pracy informują. Słuchamy ich więc chłodni, niezaangażowani w ich sprawy, często lekko znudzeni. Nie ma w tym raczej naszej winy. Taką jest prawidłowość telewizyjnego odbioru.

Spotkanie z dyrektorem Trzeciakowskim było inne. Dzięki zainteresowaniu się człowiekiem włączyliśmy w orbitę naszej ciekawości także problemy produkcyjne, które stanowią wszak główny składnik jego życia. Ani się telewidz spozstrzegł, a już tkwił po pachy w sprawach kontraktacji warzyw, procesach chemicznych i ekonomicznych. Budząca zaufanie, spokojna twarz pana Trzeciakowskiego, jego żywe reakcje na prowokujące, podchwytliwe pytania, stawiane mu przez prowadzących program, zwłaszcza

przez redaktora Mikołajczyka, decydowały o swoistym akcie poznania, w którym danym nam było uczestniczyć.

Zaryzykuję twierdzenie, że o dyrektorze „Pudliszek” dowiedzieliśmy się znacznie więcej, niż by to wynikało ze słów wypowiedzianych przez niego i przez prezenterów. Były w panu Zbyszku jakieś wymowne niedopowiedzenia, zawieszenia głosu, podteksty, które wyobraźnia nasza starała się rozszyfrować, by stworzyć sobie możliwie pełny obraz tego człowieka.

Dyrektor, chemik z wykształcenia, inteligent, pochodzenia jak sądzę chłopskiego, dał nam piękną lekcję umiłowania wykonywanego przez siebie zawodu, umiejętności koncentrowania się na sprawach istotnych, przy jednoczesnym nie traceniu z pola widzenia tych mniej ważnych, nawet błażych, z których także składa się mozaika psychologicznego wnętrza człowieka.

Jeżeli więc przeciwstawiłem w tym felietonie świetny przykład publicystyczny poprawnemu, lecz dość obojętnemu dla nas widowisku teatralnemu, to zrobiłem to po to, by zastanowić się nad dziwnym zjawiskiem telegniczności, które staram się tropić przy każdej okazji. Dzięki panu Zbyszowskiemu spędziłem przy telewizorze chwile niebanalnych wrażeń. A to chyba dużo!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI



SATYRA W WALCE O POKÓJ I SOCJALIZM

W ostatnich dniach kwietnia w Klubie Dziennikarza w Łodzi otwarto interesującą wystawę rysunków satyrycznych współpracowników radzieckiego czasopisma „Krokodyl”. Ekspozycja ta jest efektem współpracy redakcji „Krokodyla” z łódzką „Karuzelą”.

W otwarciu wystawy udział wzięli przybyli z Moskwy zastępca redaktora naczelnego „Krokodyla” GEORGIJ MARCZIK, który na temat radzieckiej satyry powiedział m. in.: „Ludzie radzieccy otwierają pachnącą świeżą farbą gazety, szukając przede wszystkim karykatury — ostrego, jak chirurgiczny skalpel komentarza, ważniejszych wydarzeń. Wesoly, przekorny rysunek niby promień światła, to czego nie dostarczyli obywatele, pomagał im zauważyć negatywne zjawiska, piętnował je i ośmieszał.”

Nieocenione znaczenie dla rozwoju radzieckiej grafiki miało założenie w 1922 roku czasopisma satyry politycznej — „Krokodyl”. Zgromadzeni wokół niego karykaturzyści śmiało kierowali swoje ataki przeciw wrogowi klasowemu, działającemu na wewnętrznej i międzynarodowej arenie. Każdy z artystów reprezentował wyrazną, zdecydowaną osobowość twórczą, łącząc ich potrzebą służenia celom nadrzędnym, idei i praktyce socjalizmu.

Narody radzieckie i partia wysoko oceniają trud autorów zaangażowanej, celnej karykatury, stwarzają atmosferę szacunku wokół starych mistrzów, pomagają rozwinąć skrzydła młodym artystom. Społeczeństwo ZSRR nie boi się krytyki, satyry, przeciwnie — traktuje je

jako środki uzdrawiające i inspirujące, pod warunkiem, iż pomagają budować życie lepsze, bardziej czyste i szlachetne.

Sztuka grafiki satyrycznej, podobnie, jak każda prawdziwa sztuka, nie znosi szablonu i marnych, skostniałych form. Ten gatunek uczy się od życia i poncza, jak żyć. Oby jest omiokierem i snobem.

Język karykatury musi być dostępny najszerzemu masom. Na tym właśnie polega siła i znaczenie satyrycznej grafiki, służącej sprawie socjalistycznego humanizmu, sprawiedliwego pokoju, budowania nowego, lepszego jutra.

Wśród wystawionych około stu prac oglądamy rysunki klasyków radzieckiej karykatury — KUKRYNIKÓW, KRYLOWA, czy JEFIMOWA — a także prace nowego pokolenia artystów — MOCZALOWA, SZUKAJEWA, GORAJEWA, WEISBRODA, czy ANDRIANOWA.

W zestawie radzieckiej satyry prezentowanej w Klubie Dziennikarza znaleźliśmy znakomite skróty i symboliczne rysunki (pajęczyna z łańcuchów symbolizująca sytuację w Chile) obok bardzo naturalistycznych, wstrząsających w swej wymowie scenek (bezrobotni). Jest w tym zestawie ostra satyra polityczna obok wymownych scenek obyczajowych, są różne style wypowiedzi, różne formy graficzne — słowem mamy tu całe bogactwo radzieckiej sztuki karykatury. Nie zatem dziwnego, że wystawa cieszyła się ogromnym powodzeniem wśród łódzkiej publiczności.



MAREK MILLER

LISTY W sprawie artykułu „Jesteśmy...”

Ciesząc się, że pobyt w Krakowie wywarł niezmiennie tak wielkie wrażenie na naszych gościach, proszę o zamieszczenie tego listu, bowiem obok ogólnych impresji „informacyjna zawartość” ma także znaczenie dla odwiedzających nasze miasto.

Autor artykułu stwierdza, że „wszystkie niemal muzea krakowskie są właściwie oddziałami Muzeum Narodowego, co sprawia, że ekspozycje wędrują od jednego gmachu do drugiego”. Jako przykład wymienia Zbiory Czartoryskich przeniesione na drugą stronę ulicy, przy czym „gdzieś się zawietusiły namioty wielkiego wezra” zaś „część zbrojowni trafiła do Muzeum Historycznego (...)” — ba wiecej szukać, sprawdzać, nie zawsze znajdując. Cała prawda zacytowana informacja jest błędna, a u niezorientowanego turysty może wywołać wrażenie, że zwiedzając Kraków znajdzie się w labiryncie Muzeum Narodowego, malowniczym wprawdzie, ale mylnym.

Muzeum Narodowe w Krakowie posiada 5 otwartych oddziałów, wśród nich Zbiory Czartoryskich, i w ciągu ostatnich lat 15 żadne przenosiny nie miały miejsca. Pozostałe 11 muzeów, wśród nich Państwowe Zbiory Sztuki na Wawelu i Muzeum Historyczne Miasta Krakowa, nie pozostaje w żad-

nym związku z Muzeum Narodowym. Budynki stanowiące pomieszczenie Zbiorów Czartoryskich są od roku 1974 w remoncie, na okres którego urządzono w jednym z nich „Wystawę Arcydzieł ze Zbiorów Czartoryskich”, co każdy zwiedzający może przeczytać w gazecie i na dużej tablicy w szatni. Wystawa ta obejmuje z konieczności tylko niewielką stosunkowo część zbiorów, ale nie się nie zawieruszyło, ani nie zostało przeniesione do Muzeum Historycznego, które posiada własną zbrojownię. Całość Zbiorów Czartoryskich oczekuje na rychły już, jak zapewnia Pracownicy Konserwacji Zabytków, koniec remontu.

Przytaczając się zarówno do intencji jak do adresu artykułu — mi, mam na myśli zdanie, że miliony wydane na muzea nie są wyrzucone — muszę zwrócić się nie tylko do Autora podpisanego WIDOK, ale też do innych piszących o muzeach z apelem, by szukać informacji nie pomijali najbardziej kompetentnego i otwartego dla wszystkich źródła tych informacji, jakim są same muzea. Kustosze Zbiorów Czartoryskich MAREK ROSTWOROWSKI

Padają drzewa
W nawiązaniu do artykułu pt. „Padają drzewa”, zamieszczonego w Nr 12 (1058), „Odgłosów” z dnia 19.03.1978 r. — Łódzkie Przedsiębiorstwo Ogródnicze wyjaśnia co następuje:
— decyzja podjęta przez Władze Miasta Łodzi o budowie arterii komunikacyjnej Mickiewicza — Główna, spowodowała zmniejszenie powierzchni parku im. Poniatowskiego oraz

wycinkę kilkuset drzew. Oprócz ubytków zieleni wynikających z potrzeb inwestycji, ujętych w dokumentacji, park ucierpiał w poważnym stopniu w czasie trwania budowy. Organizacja zaplecza budowy, przewóz materiałów budowlanych, praca ciężkiego sprzętu i transportu a także uzbrojenie terenu w liczne ciągi i instalacje kablowe, niezbędne dla budującego się przedsięwzięcia, spowodowały szereg dodatkowych, nieprzewidywanych pierwotnie zniszczeń. W celu maksymalnego uchronienia zieleni, Łódzkie Przedsiębiorstwo Ogródnicze poleciło generalnemu wykonawcy robót tj. Kombinatowi Robót Drogowych:

- wytyczenie określonych dróg dla transportu,
- wyznaczenie stałego, ogrodzonego terenu na składowanie materiałów budowlanych,
- zabezpieczenie pni drzew, które znalazły się w obrębie placu budowy i narazone były na ewentualne uszkodzenia.

Powyższe polecenia były konsekwentnie egzekwowane przez nasze Przedsiębiorstwo. W miarę realizacji inwestycji i postępu robót drogowych, LPO podejmuje sukcesywnie porządkowanie terenów zieleni, towarzyszących nowej trasie komunikacyjnej. Już w roku ubiegłym założono trawniki na odcinku od Al. Włókniarzy do ul. Zeromskiego i posadzono, wzdłuż terenów zakładów pracy zlokalizowanych przy budowanej trasie, młode drzewa. W początkach roku bieżącego przystąpiono do generalnego porządkowania drzewostanu na terenie parku, zaniedbanego w ostatnich latach, z u-

ŁÓDZKIE SPOTKANIA TEATRALNE

W życiu teatralnym naszego miasta zawsze stanowią rodzaj święta, oczekiwane ze szczególną nadzieją. Są bowiem manifestacją młodej poszukującej kultury, wydarzeniem nieco dziwnym zarówno w sensie artystycznym jak i ideowym, które winniśmy śledzić ze zdwojoną uwagą. XIV LST odbędzie się w dniach 20—23 maja br. Obecne kierownictwo spotkań, których dyrektorem jest Zdzisław Hejduk, a zespołem organizującym Teatr 77, akceptowało formułę programową festiwalu przyjętą w roku ubiegłym. Będziemy więc świadkami najbardziej wartościowych spektakli roku 1977 wywodzących się zarówno z ruchu studenckiego ruchu amatorskiego, jak i dokonani zespołów profesjonalnych. I tak zobaczymy: krakowski Teatr STU, AOT Kalambur z Wrocławia ze spektaklem „Białe

skrzynia”, Teatr Ósmego Dnia z Poznania ze spektaklem „Przecena dla wszystkich”, Scenę Plastyczną KUL ze spektaklem „Wilgość”, wypowiedź teatralną „Skrzyżowanie” — wynik współpracy Teatru 77 z Teatrem 9 ze Sztokholmu. Wystąpi również Kabaret „Kontra” w programie zatyłowanym „Lęb” i pokaże swoje działania plenerowe Warszawska Akademia Ruchu. Zespoły profesjonalne reprezentować będą: Teatr Polski ze Szczecina spektaklem „Rzeźnia” S. Mroźka oraz Teatr Nowy z Łodzi ze spektaklem „Cień” wg W. Młynarskiego. Gościć będziemy również Instytut Teatralny z Leningradu, który pokaże przedstawienie „Z profilu i en face” wg W. Szukszyna. Spektaklami teatralnymi towarzyszyć będą imprezy muzyczne, animowane przez J. Wolka. Program ten rokuje nadzieje

że będziemy świadkami imprez naprawdę ciekawych i wartościowych.

Przy okazji LST warto zauważyć, że przymiotnik „studencki” w odniesieniu do niektórych przynajmniej zespołów teatralnych wywodzących się z tego ruchu, zaczyna nabierać innego znaczenia. Oto co na ten temat pisze dyrektor obecnych Spotkań Zdzisław Hejduk: „Dyskusje na temat stabilizacji finansowo-organizacyjnej zespołów osiągniętych wysoki poziom dojrzałości ideowo-artystycznej a zarazem przekraczających granicę „wieku studenckiego” toczą się od lat i dopiero ostatnio zarysowała się szansa uregulowania tego nabrzmiałego problemu. Nadzieję taką stwarza porozumienie zawarte w końcu ubiegłego roku pomiędzy Ministerstwem Kultury i Sztuki i kierownictwem SZSP, w sprawie sukcesywne-

go obejmowania opieką teatrów o wieloletnim stażu, mających w swoim dorobku wiele wartościowych społecznie wystąpień. Już prawie dwa lata dala w warunkach profesjonalnej organizacji Teatr STU, obecnie Ministerstwo Kultury i Sztuki zamierza otoczyć swoją opieką dwa następujące zespoły — to jest: AOT Kalambur i Teatr 77, a w dalszej perspektywie Teatr Ósmego Dnia i Akademię Ruchu.”

Można mieć nadzieję, że ów od dawna wyczekiwany merkant państwa w przyszłości obejmować będzie wszystko to, co w kulturze studenckiej wartościowe, zasługujące na szczególną opiekę, jako istotny wkład w kulturę narodową.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JAZDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny) Stałe współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMANSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ.

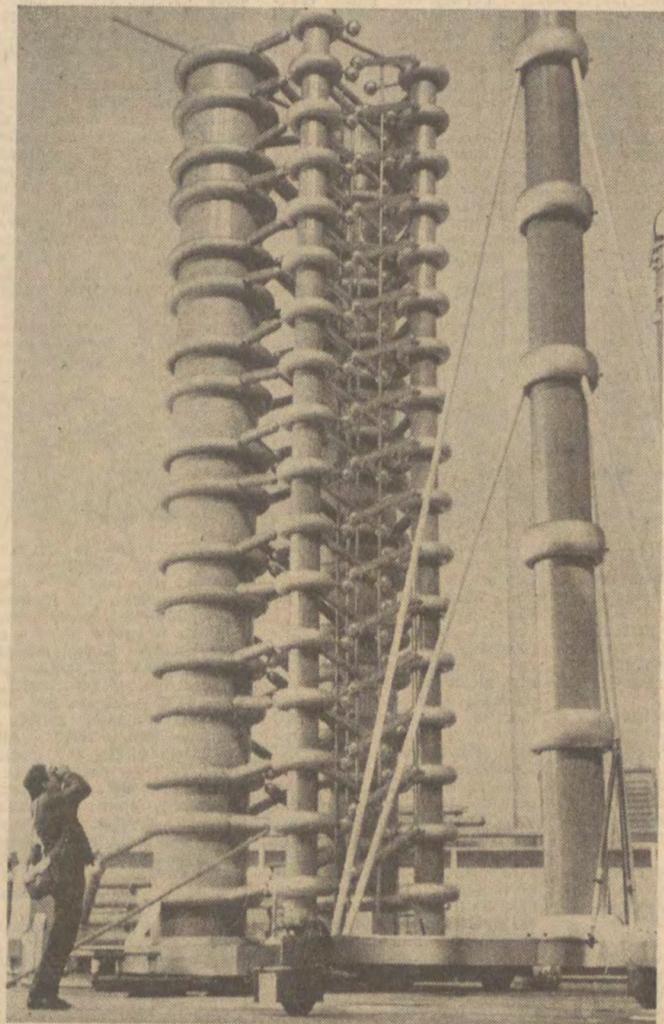


Foto: Gerard Puciato

KLUCZ DO TAJEMNIC ŻYCIA

Dalszy ciąg ze str. 1

Ihm potocznie nazywamy przemianą materii". Przelóżmy to na język jeszcze bliższy rozumieniu laika. Z miliardów wyodrębnimy jedną komórkę, wszystko jedno jaką — czy tę, która kreując się powoduje ruch, czy tę, która w pewnym momencie wydziela jakąś substancję, np. taką, która trawi pokarm, albo tę, której zachowanie się sprawia, że odczuwamy ból, rozkosz, strach, radość czy depresję. Wyobraźmy sobie tę komórkę w miliardowym powiększeniu jako gumową piłeczkę. Pełni ona tylko jedną z wymienionych lub nie —

życiową funkcję. Zaczyna działać, kiedy dotrze do niej sygnał — amina biogenna. Oto zbliża się na przykład adrenalina. Ale omija pierwszą komórkę, setną, miliardową, wreszcie dociera do jednej, lub raczej do ich grupy, zatrzymuje się na niej, w następstwie tego komórka pełni przypisaną sobie funkcję. Oto w polu widzenia histamina. Ona z kolei omija tamtą grupę komórek, a pobudza do działania inną. Trzeba było dużego wysiłku nauki, by „dostrzec”, że na powierzchni komórki są jakby yalowskie zamki dostosowane kształtem do poszczególnych amin biogennych (uczeni wola tu porównanie ręki i rękawiczki). Noszą

nazwę receptorów. Która z amin pasuje do zamka, wejdzie do danej komórki, pobudzi ją do działania. Ta, która nie pasuje, pójdzie dalej, aż znajdzie tę swoją. Ale nas w szczególności interesuje

HISTAMINA

Przez długie lata sądzono, że istnieje jeden tylko jej receptor określany mianem H_1 , że więc histamina nie dociera do niektórych narządów, jak na przykład do serca, albo śluzówki żołądka. Ale niedawno angielski profesor James Black wykrył istnienie drugiego receptora histaminy, H_2 . Jest to odkrycie doniosłe. Pozwoliło ono na ustalenie roli histaminy w produkcji kwasu solnego, stanowiącego główny składnik soku żołądkowego. Aby sok żołądkowy wydzieliał się normalnie, niezbędne jest istnienie receptora histaminowego w komórkach wydzielniczych żołądka. W wypadku choroby wrzodowej — kwasu jest nadmierna ilość. Szuka się więc leku, który by ograniczył jego produkcję. Osiągnąć to można wykorzystując opisane wyżej mechanizmy. Skoło za wydzielenie kwasu odpowiedzialna jest histamina, należy — specjalistą zechcą mi wybaczyć uproszczenie — „zatkąć” niektóre receptory. Uzyskuje się to przez wprowadzenie do organizmu tzw. inhibitorów, ich rolę pełnią pewne leki. W praktyce sprawa nie jest tak prosta, jak w tej popularnie ujętej relacji. Zsyntetyzowano na Zachodzie lek zwany Metiamide. Musiano go wycofać, gdyż zamykał wszystkie receptory naглуcho, skutkiem czego histamina w ogóle nie dostawała się do komórek i produkcja kwasu solnego ustala całkowicie. Tak w bardzo ogólnych zarysach wyglądała sfera działania

KLUBU HISTAMINOWEGO

Jego zaś dzieje i sposób działania są następujące. Powstał w latach pięćdziesiątych i połączył wszystkich pracowników naukowych zajmujących się histaminą. Z całego świata zebrało się osób około 200. Od roku 1956 członkiem Klubu jest prof. dr Czesław Maśliński. Od 1971 roku odbywają się tradycyjne doroczne zjazdy. Pierwszy odbył się w Łodzi jako satelitarne sympozjum Międzynarodowego Zjazdu Unii Nauk Fizjologicznych w Monachium. I wówczas zapadła decyzja organizowania dorocznych zjazdów w różnych krajach Europy. Tegoroczny przypadek w dniach 2-4 maja znów w Łodzi. Warto wymienić miejsce wszystkich poprzednich i paru następnych, by z listy wynioskować o roli, jaką łódzianie grają w dziedzinie badań nad histaminą. A więc 1971 — Łódź, a potem kolejno: Marburg (RFN), Kopenhaga, Florencia, Paryż, Londyn, Łódź — 1978, Barcelona — 1979, Tübingen (RFN) — 1980.

Klub jest ciekawie zorganizowany. Zrzesza wyłącznie pracowników naukowych, obywateli się więc bez jakiegokolwiek administracji. Toteż składka roczna wynosi zaledwie 1 funta ang., ta skromna suma pokrywa koszty korespondencji. Przyjęto, że wpisowe na zjazd nie może wynosić więcej niż 20 dolarów. Takie postanowienie sprawy umożliwia udział szerszemu gronu ludzi nauki mających trudności dewizowe. Zresztą w przypadkach trudności organizatorzy znajdują drogi, by specjalistom mogącym wzbogacić zjazd swoją myślą udział ten umożliwić.

Wszelkie zjazdy i zebrania Klubu charakteryzuje ostrość polemiki. Twierdzenia nastrożające najmniej wątpliwości są stanowczo krytykowane, ale też, jeśli który z uczestników wysuwa tezę wartą zachodu, do udowodnienia której brak mu materiałów, inni przesyłają mu odczytania, rozumiejąc, że konieczność wszechstronnego zbadania histaminy stanowi cel nadrzędny. Szefem europejskiej sekcji Klubu

jest prof. J. L. Parrot z Paryża, wybitny uczony, sympatyk Polski, znawca jej kultury, zwłaszcza — literatury. Gościmy go właśnie z okazji

ZJAZDU KLUBU HISTAMINY

odbywającego się w naszym mieście. Przyjechało ponad 80 osób z całego świata oraz 30 Polaków, w tym 20 z Zakładu Amin Biogennych.

Zgodnie z tradycją panującą w Klubie, referat inauguracyjny wygłosił przedstawiciel kraju, który zorganizował zjazd poprzedni. Tym razem był to wspomniany odkrywca receptora H_2 , prof. James Black. Działający w Łodzi Zakład Amin Biogennych przysłał cztery referaty. Warto też zwrócić uwagę na referat znanego w świecie fizjologa prof. dr Stanisława Konturka z Krakowa.

Poza tym udział w Zjeździe wzięli:

— Brytyjczyk działający w firmie amerykańskiej Smith, Kline and French. Firma ta wyłansowała lek przeciwko chorobie wrzodowej pod nazwą „Tagamed”. Hasło reklamy brzmiało: „W dwa tygodnie jesteś zdrowy”. Uczeń, m.in. łódzcy, stwierdził jednak działanie uboczne leku i na ten temat wygłosił swoje referaty.

— Inna grupa uczestników to tzw. „histaminowcy układu nerwowego”. Do dziś nie wiadomo, czy są w ustroju człowieka nerwy wydzielające histaminę. Na ten temat oraz na temat wydzielenia histaminy przez mózg zabrał głos: wybitny badacz układu nerwowego, prof. Jean Charles Schwartz z INSERM w Paryżu oraz szwajcarska grupa uczonych z dr H. Haasem na czele. Nie jest to dziedzina obca naszym badaczom, skoro wyniki swoich badań w tej mierze przedstawił też dr Jerzy Nowak.

— Inną grupę uczestniczącą w Zjeździe określa się mianem „uwalniaczy histaminy”. Określenie to wynika z zainteresowania członków tej grupy zjawiskami alergii. Okazuje się, że dostanie się do organizmu jakiegoś pyłu, sierści lub innego ciała droga inną niż przez jelita, uruchamia skomplikowany mechanizm, w wyniku działania którego z pewnych komórek wydziela się histamina. Człowiek chory na alergię odczuwa skutki owych wewnętrznych procesów jako astmę, wysypkę, swędzenie itp. Uczeń docieka więc, jakimi sposobami można opanować swobodę, z jaką histamina porusza się po naszym organizmie. Czytelnik, zorientowany już w sposobach działania amin biogennych, wie, że zaplanować nad samowolną histaminą mogą inhibitory. O wadze tego stwierdzenia świadczy fakt, że Włoch, D. Bovet, właśnie za badanie tych inhibitorów otrzymał nagrodę Nobla. Takie uhonorowanie jest tym bardziej zrozumiałe, że około połowa ludzkości cierpi na alergię. A więc co drugi człowiek sięga do leków przeciwalergicznych. Sprawa ta nie mogła więc ująć uwadze uczestników łódzkiego Zjazdu Klubu Histaminy. Zajmują się nią głównie Szwedzi, oni też wystąpili ze stosownymi referatami: E. Diamant, B. Uvnäs oraz prof. A. Proust-Danon z Paryża. Ale znów w dziedzinie tej pewne osiągnięcia mają Polacy, co wynika z referatów doc. dr J. Wyczółkowskiej i dr W. Kazimierczaka.

— I wreszcie dużą grupę stanowią naukowcy nastawieni na badanie metabolizmu (tworzenia, rozkładu, regulacji itd.) histaminy. Jest to temat, którym interesują się specjaliści na całym świecie, a ukstałtowały się dwie ich grupy, mianowicie polska i szwedzka. Pracując niezależnie od siebie, dochodzą do zbliżonych wyników, co dowodzi obiektywności badań. Grupę polską reprezentują dr D. Kierska (wygłosiła

referat o regulacji enzymów syntetyzujących i rozkładających histaminę), dr A. Fogel i dr T. Biegański. Niepodobna pominąć faktu, że Zjazd odbył się w sali zakładów „Bistona”, że dzięki pomocy dyrektora Zjednoczenia Przemysłu Dzielarskiego, doc. dr W. Luczyńskiego i kierownika laboratorium, doc. dr W. Zolotarewa organizatorom spadła z głowy troska o wyżywienie, automaty i mnóstwo innych szczegółów, bez których dobra impreza odbyć się nie może.

Skoro zaś znamy szczegóły merytoryczne i organizacyjne, czas na

WNIOSKI

Był to lakoniczny skrót przebiegu i lakoniczna ocena znaczenia imprezy doniosłej dla rozwoju nauki, a jednocześnie dla praktyki w dziedzinie tak ważnej, jak zdrowie i życie ludzkie.

W tytule nazwałem aminy biogenne kluczem do tajemnic życia. Może ktoś pobłażliwie powie, że takich kluczy jest więcej. Możliwe, ale tytuł ma sugerować ważność spraw nieodłącznych w organizmie człowieka od histaminy. A więc — możliwości poznania mechanizmów tworzenia się raka, co może się równać uporaniu się z tym tak groźnym przeciwnikiem życia; leczenie choroby wrzodowej bez konieczności uciekania się do operacji; ujawnienie tajemnic alergii — równoznaczne z przywróceniem radości życia milionom ludzi. Wiadomo — jak wspominałem — że na choroby alergiczne cierpi około połowa ludzkości. Nie dysponuję danymi określającymi liczby zagrożonych rakiem oraz liczby cierpiących na chorobę wrzodową. Są niemałe. Dodane do tamtej połowy ludzkości, obejmują niemal nas wszystkich zamieszkujących ziemski glob. Przymierze uczonych świata, którego celem jest zdrowie i życie ludzkie. Dziś, kiedy świat odciera się o sprawy groźne, ten kolejny zjazd sprzymierzonych stanowi element optymistyczny.

JERZY URBANKIEWICZ

LEKTURY I PRZEMYSŁENIA

„Żyjemy w czasach — powiada historyk i politolog Franciszek Ryszka — kiedy raz po raz wywracają się zastrzępłe stereotypy, które zresztą nigdy nie były zbyt sensowne”. Uczony podejmujący refleksje nad współczesnością spotyka się z tymi stereotypami niemal na każdym kroku. Ustawicznie też musi z nimi walczyć. F. Ryszka głośno oznajmia, że pragnie zrehabilitować pojęcie „mola ksządkowego”, owego człowieka, który wodząc nosem po kartach zmurszałych foliów, miał ponoć nie dostrzegać niczego, co się wokół niego działo. Humanista podkreśla z mocą, że nie może zgodzić się ze zdaniem, jakoby „prawdy z książek” miały się kłócić z „prawdami życia”. Akcentuje, że lektura rozszerzając ludzkie kategorie oglądu świata zbliża człowieka — miast oddalać — do innych ludzi, pomaga mu „uczyć się mądrości życiowej”. Intelektualista głosi pochwałę czytania. O jakie zaś czytanie — i czego — mu chodzi,

tego dowiadujemy się z jego ostatniej książki, zatytułowanej „Lektury i przemyslenia”, a ogłoszonej nakładem Wydawnictwa Poznańskiego (1978) w nakładzie pięciu tysięcy egzemplarzy.

Fascynująca to książka: przynosi ona indywidualny zapis skojarzeń, jakie nasunęły się F. Ryszce podczas jego najróżniejszych lektur, bynajmniej zresztą nie tylko naukowych. Własne lektury humanisty stały się dlań pretekstem do snucia subtelnych, wielokierunkowych rozważań, znacznie wykraczających poza horyzont wyznaczony przez dzieło, które dało do nich impuls. Miłośnik klasyfikowania dzieł naukowych podług tradycyjnie wyróżnianych dyscyplin będzie miał nie lada kłopot z zaliczeniem tej książki do którejś ze swych szufladek. To piarstwo bowiem które uprawia F. Ryszka, jest w równej mierze uprawianiem historii, co wszystkich innych nauk społecznych. W swej żywej intelektualnej

refleksji F. Ryszka nie troszczy się o tradycyjne podziały kompetencyjne, stara się bowiem widzieć interesujące go problemy w kategoriach interdyscyplinarnej całości i tak je interpretować.

Bo jak tu czynić inaczej, skoro podejmuje się rozważania nad dziełem „Bałzaka naszych czasów”, jak określono niedgdy Georgesa Simenona, twórcę sławnego na całym świecie komisarza Maigretta? Nie boimy się, F. Ryszka nie serwuje nam jeszcze jednego historyczno-literackiego zarysu życia i działalności pisarza, nie rekonstruuje też zyciorysu jego bohatera, któremu w 1966 r. w jednym z miast holenderskich wystawiono prawdziwy pomnik (autentyczny!). Odczytuje cykl o Maigrecie jako „wykładnię losów człowieka”, zaś powódzenie bohatera tłumaczy „znajomością człowieka, znajomością jego kondycji społecznej i jego kondycji ludzkiej”. Uczony nie ukrywa, że piarstwo Simenona ceni wysoko, „jako ważne świadectwo współczesności, a przynajmniej jej części”, nie tylko jako kronikę obyczajów. Po autorze tomików o sympatycznym (nie zawsze zresztą) komisarzu „pozostanie to, co się nazywa problematyką danej epoki. W twórczości Simenona — kon-

kluduje F. Ryszka — będzie można na pewno odnaleźć wiele ważnych problemów dzisiejszego świata”.

Po G. Simenonie, któremu autor poświęcił pierwszy z esejów, zawartych w książce, następuje markiz de Sade, wstawiony ukutym od jego nazwiska przez niemieckiego psychiatrę Richarda von Krafft-Ebinga pojęciem sadyzmu (nazwa masochizm — ma również swą literacką genezę — od nazwiska Leopolda von Sacher-Masocha, z powodu jego utworu „Venus im Pelz” — to za F. Ryszką). Jego twórczość stała się dla uczonemu punktem wyjścia do rozważań o zmaganiach wyizolowania jednostki ze zbiorowości, które zaprowadziły go bardzo daleko: do refleksji nad współczesnymi problemami życia społecznego. Z kolei inny autor: Jean Paul Sartre — a właściwie wątki polityczne w jego twórczości, tak wyraziście prezentujące się zwłaszcza w ostatniej książce sławnego filozofa o Gustawie Flaubercie, dziele, które jeden z zachodniemieckich pisarzy nazwał „prawdziwą autobiografią Sartre’a”. Od francuskiego egzystencjalizmu i jego politycznych niekonsekwencji, F. Ryszka proponuje czytelnikowi skok na dobrze udeptaną przez siebie ziemię. W esejju

„Człowiek nazwiskiem Hitler” powraca do zagadnień, którym poświęcił wiele swych prac, w związku z niedawnymi publikacjami książkowymi, jakie ukazały się na Zachodzie — pracami Wernera Mäsera (1971) oraz Joachima C. Festa (1973). Całość tomu zamknął szkic „Myślenie z Clausewitzem”, który powstał na marginesie książki znanego francuskiego politologa i historyka Raymonda Arnsa (1976), poświęconej niemieckiemu teoretykowi wojskowości, „wiecznemu oficerowi kancelaryjnemu, bez laurów bitewnych”, który „za wszystkie niepowodzenia życiowe znajdował rekompensatę w pisaniu” — dodajmy, że nie było jakim.

Przemyslenie skłania zazwyczaj do krytyki. Jest tu więc — powiada F. Ryszka o swej książce — trochę prezentacji zjawisk kulturalnych i trochę polemiki. W każdym razie książka, o których pisze, wydaje mi się same w sobie ważne. Dyskusyjne lub ideowo obec, czasem wręcz groźne jako inspiracja lub apologia zła, przecież należą do głównego nurtu kultury współczesnej i jako takie wymagają przemyslenia.

ANDRZEJ F. GRABSKI

ANDRZEJ BISKUPSKI

W PARKU ŹRÓDLISKA

Na krańcach świata,
w parku Źródliśka,
w Europie,
robotnicy zapominali o sobie.
Chleb i mięsne, ciężki i nie własne,
przynosili do domów, w których koczowali nocami.
Ze swymi przodkami łączą się w podziemnym
nieruchomym nurcie rzeki czarnej,
jak niegdyś proletariusze Marksa, idący na Sąd
Ostateczny.
Sireny dawno już tu niesłyszalne w powietrzu.
Ale praca jest tak samo droga.
I musi zostać dolożona.
Do coraz cięższej
Bryły Świata.

HANNA HALINA KACEWICZ

ETIUDA I

Teraz
kiedy umarłeś we mnie
przyszysz mi się nagłe

Bez ostatnich słów

Zamknę cię
w nieposłusznym łęku
przywartym do warg

Twój cień będzie się ślaniał
idąc od okien do okien

Za nim otworzy się pejzaż
z ciemnym kapturem drzew

Teraz
przyszysz mi się nagłe
w zachwyceniu

ETIUDA II

Jeszcze niedawno
myliłeś mi się z ciszą
pustych dżbanów

I tyle zdziwienia
że aż tak
że bardzo

Wzoram
dźwigając ciemność w sen
rozbiłam twoje serce

Teraz mylisz mi się z niebem
które upada szklanym czołem
na ziemię

ROMAN GORZELSKI

RYSOWANIE ŻYCIA I ŚMIERCI

Narysowany myśliw: strzela do rysowanego jelenia
— będzie to co postanowie

rysowany liść spada z narysowanego drzewa
— kończy życie na ziemi

rysowany ptak śpiewa na tle papierowego nieba
— dorysuje mu gniazdo aby miał gdzie wrócić

a co zrobię z jeleniem i myśliwym
— tylko śmierć jednego jest życiem drugiego

Wszystkich nas, myślę, zmieniła więźnia, i nie tylko zewnętrznie. A poza tym my się właściwie wcale wzajemnie nie znamy. Ot, na przykład, taki Kirsz. Z miną dawnego, czapującego tylko magnatom szlachetki mówi teraz do Wacławskiego:

— Tak, tak, panie poczęstaj. Ja pochodzę wprawdzie z rodu niewysokiego, lecz Polsce od wieków oddanego. Moi przodkowie szli przez Europę z Napoleonem, przodkowie walczyli z carem w powstaniu styczniowym.

Patrzę na Kirsza i usiłuję sobie wyobrazić, kim jest. Co ja o nim wiem? Oficer zawodowy, tak jak Buława, za młody, żeby był w legionach Piłsudskiego. Dlatego zapewne

śnej polanie. A później przysłała do mego kawalerskiego mieszkania. Lecz odpychała moje niecierpliwe ręce i mówiła przekornie: nie można.

— A kiedy będzie można? — pytałem, odurzony jej bliskością i pocałunkami.

— Kiedy poczujemy, że łączy nas coś silniejszego niż przelotny flirt.

— Nawet jeśli przyjdzie nam czekać na to rok, dwa, a może pięć?

— Nawet wtedy.

Uśmiechała się przekornie, a mnie jej słowa irytowały. Zwłaszcza, wiedziałem, że plynęły nie z lekkości przed opinią, lecz z dziwnego dla mnie „ja” samej Marii. Z jej chęci do doskonałości wszystkiego i wszystkich. Dzieci, które uczyła w

W okrzawionej głowie chronił z uporem nazwiska i adresy ludzi, do których miał dotrzeć. Skazał się tym na mękę powolnego konania wśród tortur, zamiast umrzeć szybko od kuli lub na szubienicy. To budziło w nas współczucie, a zarazem uznanie. Także w Buławie, choć komunistów lekceważył.

— Ideologia z marginesu społecznego, panowie. W Polsce, którą z obcych zaborów wyzwolił dzięki swej woli i legiom komendant, ta idea się nie przyjmie — orzekł z uporem.

— Nasz chłop i robotnik jest na to zbyt religijny — wyrażał swoje wątpliwości Kirsz. Potem wyciekając patrzył na Kurowskiego, ten jednak milczał.

W okrzawionej głowie chronił z uporem nazwiska i adresy ludzi, do których miał dotrzeć. Skazał się tym na mękę powolnego konania wśród tortur, zamiast umrzeć szybko od kuli lub na szubienicy. To budziło w nas współczucie, a zarazem uznanie. Także w Buławie, choć komunistów lekceważył. — Ideologia z marginesu społecznego, panowie. W Polsce, którą z obcych zaborów wyzwolił dzięki swej woli i legiom komendant, ta idea się nie przyjmie — orzekł z uporem. — Nasz chłop i robotnik jest na to zbyt religijny — wyrażał swoje wątpliwości Kirsz. Potem wyciekając patrzył na Kurowskiego, ten jednak milczał.

TADEUSZ SŁUPECKI

W CELI I W BITWIE

pozbawiony jest sentymentów legionowych i odporny na legendę komendanta. Ale jednocześnie uważał, że jeśli państwem rządzą ludzie Piłsudskiego, to widać tak być musiało, historia sama dokonuje w tych sprawach selekcji. Czy za sto lat, pytał nieraz, będzie ktoś o komendancie i jego stronnikiem pamiętał więcej niż to, że sterował Polską między dwoma światowymi wojnami?

Mimo wszystko, mówił dalej, naród pod ich rządami jednak żył, pracował, i rozwijał się, jak żył w epoce królów, też nie zawsze przez współczesnych i historię chwalonych.

Kirsz nie czuł więc potrzeby rewizji swoich poglądów, mimo kłeski wrzesniowej. Sądził, że była nieunikniona — podobnie jak my — tyle, że my nie usprawiedliwialiśmy tych, co Polskę rządzą.

— Wiedzieliście, co się dzieje, przerywając moje refleksje, porucznik Kurowski. — Ileż przypomina mi się Wrzesień; choć zakończył się on kłeską, przychodzi mi do głowy myśl, że jeśli wyjdziemy z tej celi cało, to będziemy go jednak uważać za coś wielkiego.

— Coś, co przejdzie do historii — podejmuje Wacławski.

— Historia, to nie krowi ogon — mruczy Drysiak. — Nie wiadomo, co utrwał, a co pominie...

— Nawet jeśli zgnoją nas w tej celi lub w obozie koncentracyjnym? — mówi zgorzchniony zakonnik.

— Nawet wtedy i mimo to! — upewnia go z uśmiechem Drysiak.

Zakonnik słucha bez przekonania, po czym z rezygnacją drapie się przez habit w plecy, pokłute przez więźniarskie pchły. Patrzy na jego wymierzowaną twarz, która zachowała przecież ślady dawnej czerstwości i jakiejś wewnętrznej pogody. Znowu wraca nekające pytanie: A ten? Co wiem o tym człowieku w zakonnej szacie? Do klasztoru wstąpił z namowy rodziców, niezbyt zaocznych chłopów, którzy pragnęli, aby ich syn się wybił. Ale syn został tylko zwyczajnym bractwem. Pomimo zalecanego mu pokory i uległości, niczego nie osiągnął nawet tych cnót. Zazdrościł losu zakonnym księżom, czuł się od nich gorzej, po kiedy on sprzątał klasztorne korytarze i ubikacje, a zimą palił tam w piecach, oni, w ozdobnych ornatach i stulach, przyciągali wzrok wierznych przy ołtarzu i w ambonie. Z czasem polubił życie zakonne. Urzekła go stare, wiekowe mury, wyróżniający z tłumu czarny zakonny habit, kościelne ceremonie i uroczyste nabożeństwa, złożone ołtarze i strzeliste stropy, kamienne figury świętych i ich otoczone aureolą wizerunki, rzędy płonących świec woskowych, poważna muzyka organów i chóralne śpiewy zakonników. Było w tym dla niego coś tajemniczego, uwznioślającego i upajającego, ale zarazem budziło w nim jakiś stan niepokoju, przeszkadzający mu w modlitwie. Pocieszał się, że nawet najwięksi święci popadali w pokusy i zwątpienia.

— Ja bym tam nie wytrzymał ani jednego dnia! — sumował jego zwierzenia Drysiak. — Wszystko rób na dźwięk dzwonka, rygor gorzszy niż w wojsku, a o kobietach myśleć nie wolno nawet na zakonnej przepustce. (...)

Później moje myśli zmieniają bieg. Przypomina mi się jeden z własnych, minionych dni. Śmieszna, zamieszkała majówka, pachnący rozgrzanym w stożku igliwem las, gitara i akordeon, fantowa loteria. Tam właśnie poznałem Marię. Wygrała królika, i nie wiedząc, co z nim zrobić, głaskała go po wielkich, aksamitnych uszach. Potem tańczyłem z nią na zielonej le-

szkole, poznanych przez nią mężczyzn, samej siebie.

— Najtrudniej chyba doskonaleć siebie... — mruczyłem, z jej uporu niezadowolony. — I po co stawiać sobie aż tak wysokie bariery?

— Aby latać ponad nimi jak ptaki. Nigdy nie marzyłeś o wysokim locie?

— Ty chcesz mnie swoim uporem zadreczyć!

— A może wypróbować?

Nie umiałem się polapać w kaprysach Marii. Nie wiedziałem też, co kryło się za jej postępowaniem. Czy rzeczywiście chce doskonałości wszystkich? A może tylko egzaltacja przedwojennej, dobrze wychowanej panny na wydaniu? Seksualna oziębłość? Chytre kobiece wyrachowanie?

— ... błąd komendanta i w ogóle naszego rządowego stronnictwa tkwił w fałszywej ocenie Hitlera — słyszę cichy głos Buławy. — Traktowaliśmy go jak polityka, a to był szaleńiec! Kto mógł przewidzieć taki bieg wydarzeń...

Przerywa mu porucznik Kurowski:

— Ludzi, którzy by to potrafili, mieliśmy wielu. Ale tym rządzącym durniom szło o ich rządowe koryto.

— Jak Hitlerowi o „korytarz”.

To Drysiak wtrąca się do rozmowy. Zerka spod oka na Buławę i cedzi z wolna: — Wy, rządowi politycy i oficerowie, potrafiliście bliźszyć tylko na rautach i podczas wojennych parad. Dlatego przegraliśmy tę wojnę i to zanim padły w niej pierwsze wystrzały!

Buława siedzi na podłodze zgarbiony. Patrzy na mnie i Kurowskiego tak, jakby nas i Drysiaka oddzielał od niego jakiś z dnia na dzień rosnący mur.

— Więc nasz trud i męstwo — kiwa głową z goryczą — w historii się nie liczy, nie znaczy już nic? Sam Wrzesień może też? Czy w pamięci narodu on także ma zostać jako nic, jako nikomu nieprzydatna kłeska? A przecież ocalił on honor naszego narodu, wstrząsnął opinią świata, bronił wartości moralnych całej ludzkości! Pozwolił zyskać na czasie innym wojującym z Hitlerem narodom...

Nie wiadomo, jak potoczy się rozmowa. Ochman stara się zażegnać grozący wybuchem spór.

— Panowie! Bo znów zaczniecie skakać sobie do oczu! Nie zapominajmy, na Boga, gdzie jesteśmy!

Wszyscy poważnieją. Ktoś zastanawia się, kogo dziś jeszcze przed nocą wezwą do gestapo. Ktoś wspomina o tym biedaku, który gdy mu przetrażono kijem ręce, wydał Ochmana i dziesięciu innych towarzyszy. Zamknięty potem w celi na wyższym piętrze, próbował się powiesić. Przeszkodził temu strażnicy i zagrozili współwzięciem rozstrzelaniem, jeśli by to mu się udało.

— Nie wolno człowiekowi nawet się powiesić, jeśli uzna, że na to zasłużył — mruczył pośpiesznie porucznik Kurowski.

— Albo jeśli znajdzie się u kresu sił. Jak ten nieszczęśliwy pod drzwiami — dodaje w zamysłu Buława.

Przy drzwiach naszej celi od tygodnia dogorywa radziecki spadochroniarz. Ale to polski komunist, robotnik łódzki, zrzucony na tyły armii Hitlera, aby wysadzał tory kolejowe i mosty. Tak o nim mówił pekaty strażnik z korytarza. Bo tamten do niczego się nie przysnał.

— A rosyjska radiostacja w walizce? — pytano go w gestapo.

— Podrzuciona... — mruczył człowiek, który z mroków nocnego nieba spadł na radzieckim spadochronie w pobliżu miasta, gdzie się urodził.

— A co ma piernik do wiatraków? — drwił kontrował Drysiak.

— Właśnie! — popierał go Chrzaniawski.

— Kto wie — dodawał półgłosem — czy jeszcze ktoś z nas nie dożyje dziwnych czasów, nie jeden robotnik będzie w niedzielę szedł z paradą do kościoła, a w tygodniu tkali tkaniny w socjalistycznej fabryce lub klepał w niej młotkiem blachę.

Patrzę na Ochmana: znów chce zażegnać tacy się w celi spór. Drapie się pod pachami, zaprasza Wacławskiego na wyścigi. Tropione pchły uciekały przed ich palcami skokami nikroskopijnych kangurów, jednak zawsze schwytały kilka najbardziej opitych krwią. Ogładali je w palcach, kiadli w szpary między deskami podłogi, zakładali się o zwycięstwo swoich faworytek. A one, swe, nagle ustokrotnione znaczenia niewiadome, sunęły powoli w stronę drzwi.

— Żeby tak jeszcze ujrzyć wyścigi koni! — wdychał Buława i Kurowski.

— Cieszyć się — mruczył pośpiesznie Wacławski — że możecie jeszcze patrzeć na takie. Zamilkli obaj, wiedząc, co ma na myśli. Owa złowroga machina przesłuchań chwyciła już w swoje tryby i porucznika Kurowskiego. Po kampanii wrzesniowej nie mieszkał w domu, gdyż nie chciał pójść do oflagu. Przez kilka miesięcy ukrywał się w starej, nieczynnej cegielni na łożyskim przedmieściu. Ktoś jednak musiał go zaspiciować. Pewnej nocy przed cegielnią zajechało auto i Kurowski został zabrany do gestapo.

Był spokojny. Z rezygnacją godził się na obóz jeniecki, choć dotąd przed nim się bronili. Poza tym nie zrobił nic, co mogłoby świadczyć przeciw niemu.

— Zbadamy to — oświadczyło mu. — Sprawdźmy.

Zamknięto go w celi. Po kilku dniach wezwano na przesłuchanie.

— A tego człowieka pan zna? — spytał obersturmführer o wąskiej inteligentnej twarzy.

W pokoju przesłuchań stał ktoś, kto zdawał się wyglądać przez okno. Na wezwanie gestapowca odwrócił się. Porucznik rozpoznał sklepikarza — hitlerowca, u którego na tydzień przed wybuchem wojny znalazł między workami z kaszą i pakami z mydłem skrzynię z karabinami. Tamten trząsł się wtedy ze strachu, podobny do zapędzonego w kąć szcztura i odjechał do komisariatów policji, na swoich skrzyniach z bronią dla dywersantów. Teraz powoli ruszył w stronę Kurowskiego, wyprostowany, wzywający, z twarzą złą i mściwą. Kiedy był już od więźnia o krok, zamachnął się i uderzył go pięścią w twarz.

— Ty polska świno! — sycał po polsku przez zęby. — Nareszcie cię odszukałem! Masz!

Kurowski posiniał z obrazy. Zanim jednak zdążył oddać cios sklepikarzowi, chlasnął biczą obersturmführera. Billi go potem obaj. (...)

W żółdku, oszukany w obiał zupą z brukwi, budził się głód. Próbował go zwieść, myśląc o jutrze. Jutro będzie sobota, myślałem. O święcie, tak co dzień, poranny bieg do ustępu i po kawę. Później kogoś z nas wezwą z celi na przesłuchanie, a funkcyjni, niby mrowki-robotnice, rozpełzną się po więzieniu, gdzie Heller poleci im zbijać z desek nosze dla zmarłych, aby nie trzeba było wynosić ich z celi na placszach, albo znowu każe zdrapywać z podłóg kancelarii urojony kurz. Będą czynić to do obiadu, który wraz z drugim więźniem roznieśnie więzienny kalifaktor. Zanurzy w

„Nech pan nas po tej rzadkiej liście takimi wspomnieniami nie dorzyna!” — doda Kirsz. „Zwłaszcza, że ja wtedy często miewałem pusty brzuch i takich frykasów nigdy nie wcinalem!” — burknie cierpko Chrzaniawski. „To sam żes sobie winien — wtrąci ironicznie Wacławski — nie mogłeś prosić Boga o mundur majora i teścia — ziemianina?” „Albo właściciela niezłej w mieście fabryczki?” — zakończy Drysiak. Później do celi wejdzie, wpuśczonego przez strażnika, więzienny fryzjer. Gołąc nam brody będzie mrucał półgłosem więziennie nowiny i pokaże rękaw swej marynarki, w którym zaszył banknoty, pięćset marek.

— Niezła, jak na więźnia, forsa, co? A uzbierałem ją, śmiech powiedział, w więzieniu — szepnie mi konfidencjonalnie w ucho prawe.

Zerknie spod oka, po fryzjersku, na moją namydloną twarz i szepnie w ucho lewe: — Sa tu jeszcze, panie poruczniku, więźniowie nie gotodupcy. Tacy, co potrafili przemycić trochę gotówki. Sa też, a jakże, niektórzy honorowi strażnicy-Austriacy. Ci za gołenizę też placą mi markami.

— Więc co? Może mamy ich za to podziwiać? Rozgrzeszać ze służby dla Hitlera? — zapytam z ironią.

— To już nie moja rzecz — baka fryzjerzyk. — Ja z panem porucznikiem rozmawiam tak... ogólnie. Można rzec, filozoficznie. Ze niby, wbrew niedowiarkom, pan Bóg jest. Bo inni poszli już dawno na rozwałkę lub założono im stryk, a ja, da Bóg, może wyjdę stąd jeszcze z niezłym kapitałem. I jakoś z nim okupację, przy bożej pomocy, przebijuję. (...)

Później Drysiak mrugnie na Chrzaniawskiego, zaprosi nas do więziennego „teatru”. Oprze się plecami o plecy Chrzaniawskiego, powie z uśmiechem: „A to, proszę państwa, jest stos”. Potem zaśpiewa niegłośno, prawie szepcąc, parodię „Pierwszej brygady”:

Legiony to nalwynych nuta,
legiony to frajerów stos,
legiony to ewanliczków buta,
legiony to wygrany los!

Bo my, Pierwsza Brygada,
którą Komendant władał,
na stos rzuclliśmy — hen
Polski los,
na stos, na stos!

Major Buława zerknie na Drysiaka spode łba. Później na śmiałą twarz tego człowieka, który nawykł do rozkazowania, niby czerwony liszaj, wypełniony ceglasty rumieniec. Wie jednak, że jest pod obrzutkiem naszych spojrzeń. Pragnie utrzymać oficerski fason. Ze spokojną na pozór miną gra z Wacławskim w warcaby. Na poliniowanej stronie hitlerowskiej gazety, którą wolno nam kupić, gra pionkami ulepionymi z więziennego chleba. Drysiak ze swej porcji chleba, który miał zjeść na kolację, ulepił wąsy, takie, jakie miał komendant i przyłożył je pod nos. Palcami lewej ręki zaczęły wybijać na podłodze marszowy rytm. Oczami zewozać na zamknięte drzwi i znów podśpiewywać z cicha znaną legionową melodię z wymyślonymi przez siebie słowami:

Jedzie, jedzie na kaszance,
sławy strzelca strój.
Hej, hej! Komendancie
bądź i w celi mój!

Gdzie szabelka jest ze stali,
z którą szliśmy w bój!
Hej, hej! Dziś potrzebny
Polsce czołgów rój!

Fragmety powieści pt. „W celi i w bitwie”, która ukaże się wkrótce nakładem Wydawnictwa MON.



Foto: Archiwum

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

FRAGMENT NAJNOWSZEJ HISTORII

Niedawno w prasie warszawskiej ukazała się wiadomość zatytułowana: „NA WAKACJE Z OHP — MIEJSKA PRACA DLA 250 TYS. MŁODZICH”. W tekście tej notatki znalazłem następujące zdanie:

... to już po raz dwudziesty młodzież będzie pracować w czasie wakacji pod szyldem OHP.

Po raz dwudziesty, czyli OHP ma już 20 lat. Istotnie Ochotnicze Hufce Pracy zostały powołane do życia uchwałą Rady Ministrów z 13 czerwca 1938 roku, ale wszystkie zaczęło się o 10 lat wcześniej, kiedy powstała Powszechna Organizacja „Służba Polsce”. OHP jest tylko nową, bardziej odpowiedzialną współczesnym warunkom, formą wcielania w życie tej samej idei — wychowania przez pracę, angażowania do rozwoju kraju szerokiej rzeszy młodzieży. I mimo, że OHP są inną formą kontynuowania tej samej idei, to przecież PO „Służba Polsce” stanowi już tylko fragment naszej najnowszej historii.

PO WOJNIE

Kraj był nie tylko zniszczony. Polska odrodziła się w nowych granicach. Dokonały się zasadnicze reformy ustrojowe: reforma rolna przyczyniła się do rozwiązania problemu przeludnienia na wsi, a nacjonalizacja przemysłowa stworzyła przesłanki do likwidacji bezrobocia i planowego rozwijania gospodarki. Jednocześnie rozpoczęły się wielkie procesy migracyjne. Przede wszystkim ogromne ilości ludzi przenosiło się i osiedlało na zachodnich i północnych ziemiach Polski.

Realizacja planu trzyletniego pozwoliła na odbudowanie zniszczonej i rozbudowę gospodarki w tradycyjnych jej formach. Dopiero plan sześciolenny zakładał radykalną przebudowę gospodarki, kładąc główny nacisk na rozbudowę przemysłu ciężkiego. Nie przypadkiem symbolem planu sześciolennego była budowa Nowej Huty pod Krakowem.

Już w czasie realizacji założeń planu trzyletniego okazało się, że dla sprostania ambitnym celom potrzebna ludźmi odpowiednio przygotowanych, ludzi z kwalifikacjami, a także ogromnych ilości ludzi bez kwalifikacji, którzy mogliby wykonywać najprostsze prace, a jednocześnie zdobywać zawód. Planowy rozwój gospodarki stwarzał wielką szansę dla młodych, którzy swoją przyszłość mogli związać z dokonującymi się w kraju przeobrażeniami.

W LIPCU 1945 ROKU

Komisja Porozumiewawcza Organizacji Młodzieżowych województwa śląsko-dąbrowskiego zorganizowała I Śląską Brygadę Młodzieżową, która niosła pomoc ludności Śląska Opolskiego, pomagała w organizowaniu tam władzy ludowej, w odbudowie i uruchamianiu przemysłu. Związek Walki Młodych organizował brygady żniwne, w których pomagało rolnikom 10 tys. młodych dziewcząt i chłopów. W Łodzi rozpoczęła się Wyścig Pracy, który ogarnął wkrótce cały kraj.

Pułkownik Eugeniusz Wiślicz-

—Iwańczyk, były partyzant, zorganizował Hufce Budowlane, które działały w województwach kieleckim i lubelskim w latach 1945—1948. Do hufców tych przyjmowano przede wszystkim sieroty po poległych partyzantach. W hufcach młodzież wychowywała się, pracowała i uczyła się zawodu.

Jesienią 1946 roku rozpoczęła swoją działalność przy odbudowie Pracy im. Janka Krasickiego. Członkowie tej brygady również pracowali i uczyli się.

W BRYGADACH PRACY

realizowała się idea jedności ruchu młodzieżowego. Pracowali tu obok siebie członkowie ZWM, OM TUR, ZMW „Wici”, ZMD jak i młodzież nie należącą do żadnej organizacji. Łączył ich wspólny cel: praca dla dobra kraju. Łączyła ich też wspólna szansa: możliwość zdobycia zawodu.

W przeddzień zjednoczenia ruchu młodzieżowego było w Polsce 4,3 miliona młodych, a do organizacji młodzieżowych należało przeszło 750 tysięcy. Większość młodzieży pozostawała poza wpływami politycznymi organizacji młodzieżowych. Pozostawali oni pod wpływami domu, środowiska, gdzie nie zawsze rozumiano dokonujące się w Polsce przemiany, pozostawali też pod wpływami sił wyraźnie wrogich nowej rzeczywistości politycznej i społecznej.

Ta ogromna siła społeczna, jaką była wówczas młodzież, powinna była być nie tylko włączona do pracy nad rozwojem kraju, ale też pozyskana dla idei, które jej mogły zagwarantować przyszłość. Ale, większość młodych nie posiadała niezbędnych kwalifikacji, nie miała wykształcenia, nie miała szans na zdobycie zawodu, a częstokroć całe grupy młodzieży, szczególnie wiejskiej, tkwiły jeszcze w okowach analfabetyzmu.

Jan Hellwig w wydanej niedawno przez „Iskry” książce „Powszechna Organizacja SŁUŻBA POLSCE” przypomniał wystąpienie poła Jerzego Morawskiego, który w lutym 1948 roku referował w Sejmie projekt ustawy o powołaniu „Służby Polsce”. W wystąpieniu swym Jerzy Morawski podkreślił, że organizowanie młodzieży oraz kierowanie nią w toku pracy „musi odbywać się w sposób planowy, nieprzypadkowy, zgodny z potrzebami gospodarki narodowej a jednocześnie przy uwzględnieniu zdolności i zamiłowań kierowanej do szkół zawodowych czy pracy młodzieży”.

Jerzy Morawski uzasadniając potrzebę powołania takiej organizacji powiedział też:

„Realizacja ustawy umożliwi likwidację opóźnień oświatowych i kulturalnych wśród młodzieży, likwidację analfabetyzmu, zapozna młodzież z pracą i techniką, przygotuje ją do samodzielnego życia, pozwoli na planowe kierowanie młodzieży do szkół i zawodów wyżej kwalifikowanych”.

„SŁUŻBA POLSCE”

powołana została do życia ustawą sejmową z 25 lutego 1948 roku. Pierwszym komendantem głównym

Powszechnej Organizacji „Służba Polsce” był pik Edward Braniewski, w 1951 roku stanowisko to objął pik Aleksander Sław, a w 1952 roku — pik Jan Zajdel, który pełnił tę funkcję do rozwiązania organizacji.

Wszyscy, którzy do 1948 roku ukończyli 16 lat, którzy w tym czasie chodzili do szkoły, pracowali na wsi, szukali dla siebie miejsca, w życiu, musieli zorientować się ze „Służbą Polsce”. Miała to organizacja charakteru paramilitarny. Wzorowana była na wojsku, zresztą i wojsko dało kadry PO „Służba Polsce”. Junacy byli umundurowani, skoszarowani, otrzumywali pełne wyżywienia w czasie swojej służby, byli pod ochroną własnej służby zdrowia. Mieli możliwość awansowania w ramach „SP”. Do 1950 roku obowiązywały następujące stopnie: starszy junak, patrolowy, podhufcowy, hufcowy i starszy hufcowy. Po 1950 roku podhufcowego zamieniono na starszego patrolowego, hufcowego — na grupowego, a starszego hufcowego — na drużynowego. Junacy otrzymywali legitymacje „SP” oraz — zaprojektowane przez Henryka Grunwaldta — oznaki: „za pracę społeczną”, „za zwycięstwo w wyścigu pracy”, „za zwycięstwo w wieloboju”. Była też odznaka „za zwycięstwo drużynowe w strzelaniu”.

„Służba Polsce” posiadała własną prasę: dwutygodnik „Razem”, „Młoda Wieś”, „Młody Żeglarz”, dziennik „Wiadomości SP” oraz pismo dla kadry: „Poradnik Pracownika SP”. Na falach Polskiego Radia emitowano też audycje dla junaków SP.

Dla setek tysięcy młodych Polaków „SP” stanowiło nie tylko szkołę życia, ale jedyną drogę awansu, zdobycia zawodu. „SP” współdziałała z Towarzystwem Przygotowawczym Kursów Uniwersyteckich, umożliwiając młodzieży nie posiadającej matury przygotowanie się do egzaminu wstępnego na wyższą uczelnię. „SP” prowadziła własne szkoły i ośrodki kształcenia. Posiadała między innymi szkoły pilotów szybowcowych, ośrodki kształcenia motorowego, morskiego.

JUNACY „SP”

wnieśli ogromny wkład do odbudowy Polski. Pieśń zaczynająca się od słów: „Znów się pieśń na ustach rwie — SP, tej SP” można było usłyszeć na wszystkich wielkich budowach kraju. Junacy „SP” pomagali odbudowywać Warszawę, budowali Nową Hutę, odbudowywali porty Szczecina, Gdyni i Gdańska, budowali drogi, wały przeciwpowodziowe. Dziełem junaków „SP” jest magistrala piaskowa prowadząca na Śląsk z Pustyni Błędowskiej. Oni niwelowali teren pod „Wystawę Ziemi Zachodnich”, budowali fabrykę chemiczną w Brzegu Dolnym, pomagali w budowie fabryk w Kędzierzynie i Dworach koło Oświęcimia.

Pierwsze brygady „Służby Polsce” powstały już latem 1948 roku. W brygadach tych pracowała młodzież ze wsi, młodzież z miast i młodzież szkolna, która na pracę w brygadach „SP” poświęcała część swoich wakacji. Wielu junaków „SP” pozostało już na stałe w miejscu swojej junackiej pracy. Tu zdobyli zawód, zna-

li pracę, możliwość dalszej nauki i osiedlili się. Wielu byłych junaków „SP” można odnaleźć w Nowej Hucie, w Gdańsku, Szczecinie i innych miastach Polski.

Powszechna Organizacja „Służba Polsce” nie od razu zdobyła sobie społeczne uznanie. Krążyło wiele plotek na temat tego, co dzieje się w brygadach. Te plotki były podsypane i wykorzystywane przez elementy wrogle dokonującym się w Polsce przemianom. Ale junacy „SP” swoją pracą, postawą, zdyscyplinowaniem powoli zdobywali uznanie. Ludzie przekonali się, że jest to organizacja pożyteczna, że pobyt młodych w brygadach „SP” wyraża w nich samodzielność, hartuje, uczy poszanowania dla pracy i przynosi wszystkim wielkie korzyści.

NADSZEDŁ CZAS

kiedy stwierdzono, że PO „Służba Polsce” spełniła swoje zadanie, Rada Ministrów 17 grudnia 1955 roku podjęła uchwałę o likwidacji „SP”. Jej działalność miały dalej prowadzić inne organizacje, jak na przykład Liga Przyjaciół Zolnierza, GKFF, placówki oświatowe, związki zawodowe, rady narodowe. „Służba Polsce” stała się już tylko częścią naszej historii, jej niewielkim fragmentem. Ale iluż dostojnych profesorów, lekarzy, oficerów WP, nauczycieli, inżynierów, techników, wykwalifikowanych robotników sięgając do swoich życiorysów z rozrzewaniem wspomina czas, kiedy byli junakami „SP”. Iluż właśnie tej organizacji zawdzięcza to wszystko, co później w życiu osiągnął. Iluż dziewczętom i chłopcom umożliwiła ona wyjście ze wsi gdzie toczyła się ostra walka klasowa, zdobyła zawodu i znalazła miejsce w życiu.

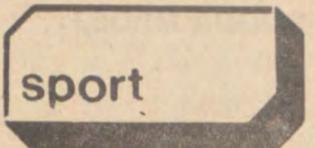
Patrząc dziś — z perspektywy 30 lat — można powiedzieć, że PO „Służba Polsce” dobrze spełniła zadanie, do którego została powołana. Jest to więc liczący się fragment naszej historii. I nie jest wcale paradoksem, że junacy „SP” swoją pracą i nauką, udziałem w przebudowie i rozbudowie Polski przyczynili się do likwidacji swej organizacji. „SP” przestała istnieć, bo zmieniły się warunki, ale idea wychowania przez pracę nadal pozostawała aktualna. Idea ta realizowana jest dziś w Ochotniczych Hufcach Pracy.

OHP

— jak już wspominałem — powołano do życia przed 20 latami. W 1975 roku w 67 tysiącach hufców pracowało około 1,5 miliona dziewcząt i chłopów. Junaków OHP można spotkać na Śląsku, jak uczyć się trudnego zawodu górnik. Można ich spotkać na wszystkich wielkich budowach kraju. Pomagali budować Petrochemię w Płocku, zagłębie siarkowe w Tarnobrzegu, zagospodarowywać Bieszczady. W OHP uczyć się zawodu przyszli budowlani, pracownicy przemysłu lekkiego, a w czasie wakacji w ramach OHP podejmują pracę uczniowie szkół średnich, studenci. Jeszcze dwa lata temu w czasie wakacji pracowało w OHP mniej niż 180 tys. młodzieży.

Junacy OHP — jak niedgdy junacy „SP” — swoją pracą i postawą zdobyli uznanie. Są dziś poszukiwanymi pomocnikami. Ale, że czasy inne, szuka się dziś już nie tylko młodych siłnych ludzi, którzy jeszcze w ramach OHP — jako niewykwalifikowani robotnicy — pomagali zagospodarowywać Bieszczady, ale szuka się specjalistów. OHP tworzy brygady budowlane. Stanowią one więcej niż połowę wszystkich wakacyjnych hufców.

Ale to jest już rzeczywistość, dzień dzisiejszy, którego by nie było, gdyby OHP nie podjęły tradycji „Służby Polsce”, tradycji, która jest fragmentem naszej najnowszej historii.



DZIWNY MECZ

Przypominanie, że piłka jest okrągła powinno być karane wysokimi mandatami za nadużywanie banału, ale tym razem niech mi wolno będzie napisać coś oczywistego. Wadno przecież, że w meczu dwu drużyn piłkarskich może paść każdy wynik i to z bardzo różnych powodów. Znając nawet dobrze obie spotykające się z sobą drużyny można czasem pomylić się w przewidywaniach. Coś takiego zdarzyło się w niedawnym meczu rozgrywanym w Szczecinie przez tamtejszą Pogoni i RTS Widzew. Wracam do tamtego spotkania nie dlatego, że przegrała drużyna Widzewa, ani nie dlatego, że w całym meczu padło aż 7 bramek, co się rzadko zdarza na ligowych boiskach, ale dlatego, że relacje z tego meczu były bardzo różne. Inaczej ten mecz widziano w Szczecinie, inaczej widzieli go łódzcy sprawozdawcy. Jest w tym coś charakterystycznego. Zdarza się bowiem często, że oglądając mecz na ekranie telewizora co innego słyszymy z ust sprawozdawcy nawet tak wytrawnego jak Jan Ciszewski, a co innego widzimy na boisku. Inna jest ocena gry tego czy tamtego zawodnika przez sprawozdawcę, a zupełnie inaczej jego gra wygląda na boisku.

Popatrzmy więc, jak taka różnica opinii wygląda w przypadku owego meczu szczecińskiej Pogoni z łódzkim Widzewem.

Szczeciński korespondent „Przeglądu Sportowego” Tadeusz Reka donosi, iż „trener Mandziara powiedział, że sukces z Widzewem był najtrudniejszy do uzyskania”.

Sprawozdawca „Głosu Robotniczego” Bogusław Kukuć twierdzi natomiast, że „mecz toczył się w atmosferze „być albo nie być” dla szczecinian. Łodzianie rozpoczęli bardzo źle”. Zdaniem to podziela sprawozdawca „Dziennika Popularnego” — A. Szymański.

Tadeusz Reka pisze w „PS”: „Łodzianie okazali się zespołem groźnym. Goście pod silnym naporem gospodarzy dość łatwo ustąpili im pola w pierwszej fazie gry”.

Pomijamy już tę sprzeczność, która zawiera się w tym cytacie, gdzie pierwsze zdanie przeczy drugiemu. Zobaczymy lepiej, co o tym meczu sądził łódzcy sprawozdawca.

A. Szymański: „W pierwszej połowie łodzianie całkowicie oddali inicjatywę przeciwnikowi”.

I dalej A. Szymański: „Dziwnie były poczynania całej łódzkiej drużyny, która zaskakiwała nagłe nieumiejętnością rozgrywania piłki”.

Pogoni do połowy meczu prowadziła już 2:0 i szaniem T. Reka „to dość wysokie prowadzenie załamało zespół Widzewa”, a bramka, którą strzelił w 40 minucie meczu Krzysztof Surliń był wynikiem tego, że osłabła „czujność Pogoni”. Natomiast zdaniem B. Kukućia z „Głosu Robotniczego” już „pod koniec pierwszej połowy gra wyrównała się”.

A. Szymański bardzo chętnie wiedzieć, co widzieliśmy powiedział w szatni trener, bo może tylko stwierdzić, że no przewzię „zobaczyliśmy zupełnie inny zespół, grający z polem w na swym normalnym poziomie”. Również B. Kukuć przyznaje, że „po przewzię Widzew był już zupełnie inną drużyną”. W Szczecinie dostrzegli tylko, że „Widzew ruszył do ataku”.

W 70 minucie szczecińskiego meczu RTS Widzew już prowadzi, ale w 3 minuty później zaczyna dziać się coś dziwnego. Tak przynajmniej uważają łódzcy sprawozdawcy. Tadeusz Reka pisze natomiast zupełnie spokojnie: „W 73 minucie po faulu Surlińa na Kasztelanie sędzia podyktował rzut karny. Kasztelan strzelił prosto w Burzyńskiego, jednak w dołbecie nie dał szans bramkarzowi Widzewa”.

Również Ryszard Godlewski pisze o tym meczu w katowickim „Sporcie” nie nie widzi dziwnego. Natomiast A. Szymański uważa, że „sędzia dał się nabrać rutynowanemu zawodnikowi Pogoni”. Dziwi go to, że „sam poszkodowany wykonuje jedenastkę”. Zdaniem B. Kukućia sytuacja wyglądała jeszcze inaczej. Napisał on: „Kasztelan zaatakował bieżącego przy piłce na własnym polu karnym K. Surlińa, przewzieli się przy tym, ale ku ogólnemu zdziwieniu sędzia podyktował rzut karny”.

Potem była jeszcze jedna bramka, kiedy „piłka leciała równoległe do bramki — jak opisuje to B. Kukuć — odbiła się od Burzyńskiego i... wpadła do siatki”. Według T. Reka „prawdopodobnie piłka miałyby słupki po zewnętrznej stronie, gdyby nie Burzyński, który dotknął ją ręką zmieniając w ten sposób kierunek lotu”.

Ale nawet T. Reka nie może przemilczeć faktu, że „w tym meczu, co potwierdzili na konferencji trenerzy i sędzia, było sporo dziwnych bramek”. Według T. Reka „kluczono to wysoką stawką spotkania i zdenerwowaniem zawodników”. A PZPN już kilka razy zapomniał, że nie będzie dziwnych meczów i różnych cudownych nieudzieli. Tego dnia, gdy RTS Widzew grał w Szczecinie odnotowano sporo — delikatnie mówiąc — zaskakujących wydarzeń na ligowych boiskach.

BODGA MADEJ

AJENT NARUSZA STRUKTURĘ

W Warszawie i Łodzi agenci, którzy przejęli sklepy owocowo-warzywne, skarżą się, że nie otrzymują cytryn, pomarańczy, bananów. W Warszawie przedstawiciel „Społem” powiedział zupełnie szczerze, że nie może dawać owoców cytrusowych agentom, skoro „jego” sklepy nie wykonują planu. W „Społem” w Łodzi uważa się, że wszystkie sklepy będzie się traktować w zasadzie w jednakowy sposób, ale zrozumiałe jest, że te sklepy, które będą miały kłopoty z planem będą w pierwszej kolejności otrzymywały atrakcyjniejszy towar, aby mogły ten plan ratować.

Sklepy agencji ruszyły stosunkowo niedawno, bo na przełomie lutego i marca 1978 roku. Uchwała Rady Ministrów, która określa zasady przekazywania sklepów agentom i funkcjonowania sklepów agencyjnych, nosi numer 160 i datę 3 listopada 1977 roku, ale obowiązują dopiero od 1 stycznia 1978 roku. Mogłoby się wydawać, że było sporo czasu na przygotowanie przekazywania sklepów agentom, ale okazuje się, że tego czasu było za mało i już pierwsze doświadczenia ujawniły poważne bariery i przeszkody.

SKLEPY Z LITERĄ „A”

Sklepy agencyjne mają być sztywno z literą „A” oraz nazwiskiem agenta wyróżnione z całej sieci handlu. Jak do tej pory nie udało mi się czegoś takiego zobaczyć. Agenci szły zamówić, ale wykonanie szyldów musi potrwać. Tak więc — jak na razie — nic nie wyróżnia sklepów agencyjnych. Nie ma ich zresztą tak wiele. Łódzkie „Społem” na przykład przekazało do połowy kwietnia 1978 roku 45 punktów handlowych, wśród których jest 18 sklepów, 22 kioski i 5 straganów. W Warszawie — 73 sklepy. W województwie Przedsiębiorstwo Handlu Wewnętrznego w Łodzi wytypowało do przekazania agentom w pierwszym półroczu 1978 roku 50 sklepów. „Społem” w całym roku chce przekazać w województwie łódzkim miejskim 215 obiektów.

Agent, aby otworzyć sklep z literą „A”, musi wykupić od przedsiębiorstwa handlowego urządzenia sklepowe oraz zapasy towarów. Podpisawszy na przykład umowę z „Społem”, agent sam musi teraz opłacić rachunki za lokal, gaz, elektryczność czy wodę, musi sam płacić personelowi, jeśli taki zatrudni, ubezpieczyć go, sam musi troszczyć się o zaopatrzenie sklepu w towary. Umawia się z „Społem” co do wysokości ryczałtu, jaki będzie płacił przez 3 lata. Później ryczałt ten będzie obliczony według innych zasad, dla których podstawa będą realne obroty miesięczne sklepu agencyjnego.

Agent podejmując więc pełne ryzyko prowadzenia sklepu z literą „A”, ma on możliwość zaopatrywania się u prywatnych dostawców, u rzemieślników czy u rolników na wsi. Handel państwowy czy spółdzielczy przekazuje sklepy w agencje ma nadzieję, że agent, aby „wyjść na swoje”, musi stać się konkurencją

wobec pozostałej części sklepów, musi wykazać inicjatywę, aby zdobyć stałych klientów, a poprzez to wszystko przyczynić się do poprawy zaopatrzenia rynku.

JAK ZOSTAĆ AJENTEM?

Trzeba przede wszystkim złożyć podanie w odpowiednim przedsiębiorstwie handlowym, które dysponuje sklepami przeznaczonymi do przekazania agentom. Jeśli podanie zostanie załatwione pozytywnie, a w łódzkich oddziałach „Społem” podania są rozpatrywane przez specjalnie do tego celu powołane komisje, to wtedy agent podpisuje umowę z przedsiębiorstwem handlowym i wykupuje od tego przedsiębiorstwa sklep wraz z urządzeniami i towarami. Jest to jednak działanie tylko pozornie proste.

Początki przeważnie są trudne i agent musi być przygotowany na pokonywanie tych trudności. Przede wszystkim musi on dysponować pewną sumą gotówki bądź kredytu, aby mógł nie tylko wykupić urządzenia sklepowe i zapas towarów, jaki w tym sklepie jest, ale też, aby mieć czym pokryć pierwsze zamówienia. Różne są zdania na temat tego, ile potrzeba mieć na początek pieniędzy, aby zostać agentem. Według pewnych opinii dla agenta pragnącego przejąć sklep o wysokich obrotach miesięcznych potrzeba około 80 tysięcy złotych. Inni uważają, że suma ta powinna poważnie przekraczać 100 tysięcy złotych.

Z dotychczasowych doświadczeń „Społem” w Łodzi wynika, że ryczałt miesięczny, jaki agent zobowiązany jest płacić WSS „Społem” nie jest wysoki i waha się w granicach 6—13 tysięcy złotych. Ryczałt za przejęte w agencje kioski jest znacznie mniejszy i wynosi około 3 tys. złotych. W Warszawie natomiast — jak pisała o tym w „Polityce” Anna Maria Wiernik w artykule pt. „Tyłem do lady” — dla sklepów, które do tej pory przynosiły deficyt w wysokości 50 tys. zł ustanowiono miesięczny ryczałt 30 tys. złotych, co wydaje się zupełnym nierozumieniem i co nie przyczynia się do popularyzacji przejmowania sklepów przez agentów.

Agent nie musi jednak kupować całego sklepu za gotówkę. Może on wpłacać 20 procent wartości zapasów towarów w gotówce i od 5 do 10 procent wartości majątku trwałego sklepu, wystawic podryzowane weksle, które będzie stopniowo wykonywał i w ten sposób wejść w posiadanie sklepu. System ten — jak wszystkie finansowe operacje rozłożone na raty jest stosunkowo droższy, gdyż do kredytów doliczane są procenty. Dlatego też mało agentów decyduje się na tego typu transakcje.

Ostatnio wprowadzono możliwość wydzierżawienia przez agenta urządzeń sklepowych od przedsiębiorstwa handlowego. Takie ułatwienie wprowadzono niewątpliwie dlatego, że zainteresowanie możliwościami przejęcia sklepów w agencje jest mniejsze niż się tego spodziewano.

OPTYZMIZM CZY PESTYMIZM?

„Społem” w Łodzi wytypowało 653 sklepy do przekazania agentom, a w tym:

- 344 sklepy spożywcze,
- 87 sklepów warzywno-owocowych,
- 16 kwaciarni.

Resztę stanowią drobne punkty sprzedaży.

Jest to program maksimum, gdyż na ten rok — jak już pisałam — agenci mają przejąć 215 punktów sprzedaży.

Do połowy kwietnia 1978 roku wpłynęło do „Społem” w Łodzi 324 podania. Zgłoszono:

- 53 na przejęcie sklepów spożywczych,
- 199 — warzywno-owocowych,
- 26 — kwaciarni,
- 46 — saturatorów.

Porównanie zestawienia struktury sklepów przygotowanych do przekazania agentom i struktury podań kandydatów na agentów pokazuje, że najmniej chętnych jest do przejęcia sklepów spożywczych, a tych sklepów wytypowano najwięcej. Więcej natomiast jest chętnych do przejmowania sklepów warzywno-owocowych i kwaciarni, choć tych wytypowano mniej.

Złożenie podania z propozycją przejęcia sklepu w agencje nie oznacza jeszcze, że zaraz taki sklep się dostanie, że zaraz zostanie agentem. Komisje łódzkiego „Społem” z 342 podań zostawiły tylko 139, resztę odrzucając. Kandydat na agenta przede wszystkim nie może być karany. Tak więc odpowiedź z rejestru skazanych decyduje, czy jego podanie będzie rozpatrywane. Poza tym kandydat na agentów gromadząc informacje o swojej przyszłej działalności wykazuje brak doświadczenia i albo sami się wycofuja, albo ich podania zostają odrzucone.

Początkowo sądzono, że sklepami agencyjnymi zainteresują się pracownicy przedsiębiorstw handlowych. Warszawskie „Społem” zaproponowało pracownikom tysiąca sklepów wytypowanych do przejęcia na agencyjny system pracy, aby w pierwszej kolejności stali się agentami. Osmuset poprosilo o przeniesienie do innych sklepów i pozostawienie ich na etatach. Z tego wcale jednak nie wynika, że pozostali 200 zostanie agentami. Wynika zupełnie co innego. Po prostu etatowi handlowcy albo boją się ryzyka, albo tak dobrze znają system działania naszego handlu, że wolałoby im nie zwracać głowy.

Również pracownicy łódzkiego „Społem” nie interesują się możliwością przejęcia sklepów w agencje. Jak mi powiedziano, młodzi się tym w ogóle nie interesują, a starsi wola spokojnie czekać emerytury, licząc na dodatek stażowy, wola mieć zagwarantowany udział we wczasach, wycieczkach itp. oraz licząc, że im jakiś krzyż przyniesie do kłapy, a czasem daje tylko satysfakcję, a czasem również dodatek do emerytury. Wola mieć w sumie spokojne życie niż nadzierać na wysokie zarobki i pewność o kłopotach i ciężkiej pracy.

Tak więc rodzi się pytanie, czy pierwsze doświadczenia z działalnością sklepów agencyjnych i tego wszystkiego, co się przy tym dzieje napawała optymizmem, czy pesymizmem? Opinie są podzielone. Jedni są pełni optymizmu i wierzą, że to się jeszcze rozkręci. Inni są nastawieni pesymistycznie i uważają, że aby akcja powiodła się trzeba szybko wprowadzić liczne korekty. Ilość

bowiem kłopotów i trudności, z jakimi musi uporać się agent, nie wróży temu działaniu należytego powodzenia.

KŁOPOTY AJENTÓW

Trzeba niewątpliwie przyznać rację optymistom, kiedy przypominają, że w działalności handlowej początek zawsze jest trudny i sukcesy zbytnie wcześniej na sukcesy, teraz jest czas rozruchu, a więc i przewyżczenia kłopotów. Są jednak kłopoty, które wynikają z zdobywania przez agenta klientów i dostawców i są kłopoty, które wynikają z zbytnio biurokratyzowanego działania handlu. I ci, którzy mówią o kłopotach agentów te drugie mają na względzie.

Agencja w naszym handlu nie jest czymś nowym. W łódzkim „Społem” na przykład pracuje 106 agentów, którzy otrzymują prowizję od obrotów i mało który z nich wyraził gotowość przejścia na nowe zasady działalności agencyjnej. Bo teraz nie mają oni kłopotów z dostawami towarów. A nowi agenci mają je od samego początku.

Agent ma sam broszczyć się o zaopatrzenie swego sklepu. Musi w tym celu podpisać umowę z hurtownią. Z hurtowni „Społem” nie ma na ogół kłopotu. Ale już z innymi są. Jeden z łódzkich agentów, który przejął sklep warzywno-owocowy chciał nawiązać kontakt z Przedsiębiorstwem Przemysłu Chłodniczego w Łodzi, który produkuje mrożonki i dostarcza je sklepom. W chłodni potraktowano agenta jak intruza i nie chcieli z nim rozmawiać. Musiał agent chodzić do WSS „Społem” i prosić o pismo, które umożliwiłoby mu podjęcie rozmów z chłodnią. Pismo takie otrzymał, ale przecież nie o to chodzi.

Agent posiada książeczkę czekową i płaci czekami. Łódzkie Zakłady Piwowarskie nie honorowały czeków tylko żądały gotówki. Monopol Tytoniowy w Łodzi oświadczył, że nie wpuści pod rampę magazynów prywatnych samochodów agentów, a przecież chodzi również i o to, aby agent miał swój transport. Bywało i tak, że agent jechał po towar do magazynów na Zabieñcu w Łodzi i musiał zaraz jechać do kasy na placu Barlickiego, aby znowu wrócić na Zabieñcu do magazynów. Agent musi teraz wpłacać czek na dwa dni przed odbiorem towaru.

Agent napotyka trudności i przeszkody biegnące do WSS „Społem” i prosi o pomoc; „Społem” na razie pomaga. „Społem” jednak słuszenie zauważa, że sklepy agencyjne miały przyczynić się do ułatwienia pracy wielkim organizacjom handlowym, a tymczasem ja utrudniają. W końcu agent ma być samodzielny, a tu trzeba go prowadzić za rękę, torować drogę. W rezultacie — mówi w „Społem” w Łodzi — mieliśmy mieć oszczędność etatów, ale jej nie mamy, mieliśmy mieć mniej pracy, a mamy jej więcej. Już samych instrukcji, wytycznych i przepisów oraz uzupełnień do tych przepisów nagromadziliśmy ogromne ilości i w końcu agent i jego sklep utopi się w morzu papierów. Mieljmy nadzieję, że tak źle nie będzie.

„OBCE CIAŁO”

Znamy dobrze zalety i braki naszego handlu. Nikt nie spodziewa się, że sklepy agencyjne uratują handel, mają one tylko poprzez inicjatywę, konkurencyjność i wzboga-

cenie ilości towarów na rynku ułatwić i uproszczyć działanie wielkich sklepów, magazynów i supersamów. Taki jest ich cel. Ale też pojawienie się w handlu sklepów z literą „A” z miejsca zrodziło szereg mitów i nieporozumień.

— Wszyscy się spodziewają — usłyszałam taką opinię — że agenci będą zarabiali bajkońskie sumy.

Zapytałam więc w „Społem” w Łodzi, ile agent może wedle ich szacunku zarobić miesięcznie? I usłyszałam odpowiedź, że od 5 do 15 tysięcy miesięcznie na osobę. Z tym zastrzeżeniem, że na początek i tego może nie wyciągnąć. Nim sobie zorganizuje działalność, nim postara się o dostawców, nim znajdzie właściwe sposoby na uromaienie zastawu towarów, musi ponieść nakłady finansowe. Jak na razie bajkońskie sumy mu nie grożą. Ale niektórzy już się o nie martwią.

Wszyscy podkreślają, że agent może zapożyczyć się u prywatnych dostawców. Z pozoru brzmi to wielce obiecująco, ale tym prywatnym dostawcą może z zasady być rzemieślnik, który posiada odpowiednie uprawnienia. Takich rzemieślników, którzy nie mieliby zbytu swojej produkcji nie jest wielu, albo raczej nie ma wcale. Musi więc równolegle z handlem agencyjnym rozwijać się rzemiosło, ogrodnictwo. Nie bardzo mi się chce wierzyć, aby agent miał czas jeździć po wsi i skupować jaja, warzywa, owoce, bo to mu się zbytnio nie opłaci. Jeśli agent posiada własny samochód, to musi zarobić nim na benzynę, amortyzację i remonty. Agent po prostu musi liczyć, jeśli chce, aby mu się jego agencja opłacała.

W „normalnej” działalności handlowej wielką wagę mają wszelkiego rodzaju pisma. Można powiedzieć, że u nas w znacznej części handluje się przy pomocy pisemek. Jeśli dostawca nie dotrzyma terminu, to wysyła się monity, jeśli nie poskutkuje, to grozi się mu karami konwencyjnymi, a to wszystko razem stanowi doskonałą podkładkę w razie nie wywiązania się z planu. Dla agenta nie może to być żadnym argumentem. Zasady jego działania nie opasują do utartych schematów. Jest on „obcym ciałem” w handlowym organizmie, „ciałem” naruszającym handlową strukturę. Pojawienie się agenta narusza spokój. Do tej pory hurtownia miała swój plan, stałych odbiorców, a tu nagle pojawił się nowi, drobni, wymagający, niecierpliw, którym o coś chodzi, którzy ciągle czegoś chcą i będą chcieli. I po co im ten kłopot?

Powiedziano mi, że niektórzy boją się obecności agenta w hurtowni, bo go kontaktu z magazynierem. „Agent może mieć większą siłę przebicia” i zabierać lepszy towar. Jak do tej pory agent jest intruzem w hurtowni, z którym nikt nie chce rozmawiać. Obawy więc nieuzasadnione. Znowu nieporozumienia oparte na domniemyaniach.

Pierwsze doświadczenia są nie najlepsze, ale nie można na ich podstawie przesadzać całej działalności przekazywania sklepów agentom. Trzeba jednak te doświadczenia potraktować poważnie, trzeba wyciągnąć z nich wnioski i pójść na dalsze ułatwienia. Jeśli już w sprawie agentów powiedzieliśmy „a”, to trzeba powiedzieć też dalsze litery alfabety do „z” włącznie. Inaczej racje będą mieć pesymści. A gra warta jest świeczki. „Społem” i inne organizacje handlowe mają już sporo krzywych uwag i propozycji. Warto szybko przystąpić do ich uwzględnienia i stworzyć dalsze ułatwienia dla agentów, jeśli mają odegrać wyznaczoną im w handlu rolę.

RYSZARD BINKOWSKI

DWIE SETKI = 73.000

W odległości 6 m od ogrodzenia posesji nr 3 przy ul. Kombajnowej leżała na boku zabita klacz z poszarpaną uprzężą; trzy metry od niej leżał płód martwego źrebica. Ukłwiony przednimi kołami w rowie, stał wyładowany workami wóz z przyprzeżonym do złamanego dyszla koniem, który usiłował skubać zwiędła trawę.

Na polu Mariana Kwiatłowskiego stał jak wymarły wrak czerwonego autobusu marki „Jelcz”. Miał silniczo na przednią sztybę od strony kierowcy i jedną z sztyb bocznych. Przód był zniszczony, z oderwanym zderzakiem.

Wyłączone wszystkie światła; pozycje, mijania i drogowe, kierunkowskazów oraz oświetlenie wskaźników tablicy rozdzielczej. Wyieraczki również unieruchomione.

Uszkodzone lustërka, zdarty lakier, pekierozwane obłachowanie, rozbita deska rozdzielcza, zgieto koło kierownicy.

1.

O godzinie trzeciej nad ranem z Modlicy wyjechał na trasę do Łodzi Franciszek Domański z synem Henrykiem. Wieźli 2,4 tony ziemniaków w workach.

Wóz był dobrze oświetlony; z lewej burty zwiślała naftowa latarka odbłaskowa, z prawej zaś biała latarnia naftowa.

Noc była chłodna, lecz sucha i pogodna, bez mgły. Mijały ich i wyprzedzały nieliczne samochody, lecz

mimo to Henryk Domański, siedzący po lewej stronie i powożący, prowadził wóz ostrożnie, blisko prawego krajeznika jezdni. Ojciec podzemiwał.

Ocknął się, gdy dojeżdżał do Gądky Starej. W oczy były długie światła dalekiego jeszcze samochodu, który zbliżał się od Łodzi ze znaczną szybkością.

— Uważaj, za astro gazuje — ostrzegł stary.

— Ale po swojej stronie — odparł syn.

Nagle blask uderzył ich wprost w oczy; samochód zjechał gwałtownie na lewą stronę i walił prosto na oślepienie konie. Henryk instynktownie szarpnął lejca, aby wjechać na tory tramwajowe, lecz nie zdążył. Usiłując trzasnąć pekiającej sztyby i dojrzał w ulamku sekundy, jak dyszel wbił się w głab kabiny; zdążył dostrzec katem oka, że ojciec spada na sztybę. Potem rzuciło go w prawo, autobus zdruzgotał deski lewej burty, zjechał na prawo i rozpruwszy betonowy plot, zatrzymał się w polu.

Ale tego już nie widział. Przerazony koń z prawej zerwał uprzęż powalony lejczy i wjechał do rowu — z gwałtownym zatrzymaniem i pochylonego wozu spadł Henryk Domański, tracąc przytomność.

Ojciec również był zamroczony, ale ocknął się szybko; wstał, uszedł kilka kroków, potknął się i upadł na dorywającego konia.

Przyjechały, wezwane przez zduszonych hukiem mieszkańców, mili-

cyjni radiowóz i karetka pogotowia. Obaj rolnicy byli trzeźwi. Jednego zabrano do szpitala. Wraz z nim odjechał kierowca czerwonego autobusu MPK.

2.

Kazimierz Grzanecki, lat 58, był żonaty, bezdzietny i niele mu się powodziło, ponieważ jako kierowca MPK zarabiał 6.500 miesięcznie.

20 października wieczorem Kazimierz Grzanecki przejął w zajezdni przy ul. Limanowskiego sprawdzony i sprawny technicznie służbowy „Jelcz”, którym miał rozbować w noc pracowników MPK.

Fakt, że dyspozytor przed rozpoczęciem pracy kazał mu dmuchać w problem, może nasuwać przypuszczenie, że kierowca coś chlupnął, albo że lubi wypić i trzeba go sprawdzać codziennie. Bo zazwyczaj dyspozytorzy używają baloników w poniedziałki albo po popularnych imieninach. A wtedy był czwartek, Irena.

O godz. 21,48 Grzanecki rozpoczął jazdę na trasie Pabianice — Tuszyń.

Kilka minut po trzeciej dotarł do Chocianowic, skąd miał ruszyć po pracowników do Tuszyń. Do autobusu wsiadło czterech przygodnych pasażerów. Byli to mężczyźni w wieku 20—30 lat, lekko podpieli.

Tuż za przystankiem Ruda — Zegar, na wysokości stawów Stefańskiego (z lewej) las), żądali, aby się zatrzymał, bo chcą wysiąść. Zrobił to, ale oni nie mogli otworzyć drzwi. Grzanecki wstał z kierownicy, żeby im pomóc. Wtedy jeden z mężczyzn chwycił go z tyłu za rękę i silnie wykręcił. Drugi wybił z teczki półlitrowa butelkę z „nalenką”, „Wódka czysta”, w której była z ciwiarką alkoholem i przystawił szyjkę do ust kierowcy.

Pił, sukinyśnu — zarechotał — bo koczonołi bratkoł powachaził! — Nie wypije! — Chciał, bo cie siła zdomy! — Albo łapkę zlamie!

Dostregł w rękę jednego z mężczyzn owinięty w gazetę podłużny przedmiot, który przypominał tom. Bał się łania, toteż oświadczył:

— Puść mnie, to sam wypije. Wypije, zostawiając trochę na dnie. — Wszystko! — Nie daj rady i zwymiotował. Jeden usiadł za kierownicą, próbując bezskutecznie uruchomić silnik.

— Ty zapali! — wrzasnął wnerwiony. Wystraszony kierowca uruchomił silnik. — Siedziemy do Wikitnal — padł rozkaz.

Jeden usiadł na masce silnika, drugi stał z tyłu, pozostali usadowili się na prawym przednim siedzeniu. Porażony myślą, że czeka go żalony konie, kierowca jechał nie czując działania alkoholu. Nagle ujrzał przed sobą dyszel i konie. Odbił kierownicą w lewo, ale dyszel trafił go w lewe ramię. Stracił przytomność i nie wiedział, jak autobus jechał dalej.

3.

U Henryka Domańskiego stwierdzono stłuczenie głowy i prawej stopy, a w konsekwencji naruszenie czynności jego prawej kończyny dolnej na okres czasu powyżej siedmiu dni; przeleżał w szpitalu trzy tygodnie.

Grzaneckiemu opatrzono ramię i był zdrowszy. U prokuratora wyjaśnił, że ze strachu sam wypił 200 g wódki, wzmiotował w autobusie, a butelka miała zerwaną kartkę. Coś się nie zgadzało.

Okazało się, że tworząc podana przez siebie wersję wydarzeń, plagiował Mularczyka, albo też chciał machnąć nowym seriał pt. „Droga”.

Wprawdzie milicja i sąd zrobiły swoje (Grzanecki posiedział i przez trzy lata nie dotknął kierownicy), ale warto pokusić się o dedukcyjne prześledzenie tej historii.

O godzinie 3.30 Grzanecki lyka przymusowo dwie setki. Z tego miejsca do miejsca wypadku

jest kilometr drogi, którą autobus może przebyć w ciągu półtoraj minuty.

W chwili wypadku kierowca nie może być pijany. Tym bardziej, że, jak twierdził, pił na czczo i wycmolewał, a wówczas żądają wydziela wszystkie alkohole. Ale nie ma w autobusie śladów wycmolewania.

Wyniki badań chemicznych są sprzeczne z wyjaśnieniami Grzaneckiego, chociaż nie całkowicie jasne, ponieważ proces wchłaniania alkoholu/przez organizm przebiega różnie. Szezyt następuje po różnym okresie czasu, najszybciej jednak, gdy nie się na czczo.

Ale już fa'tem niezbitym jest to, że o godzinie 5.30 zawartość alkoholu we krwi Grzaneckiego wynosiła 1,74 promille.

W dwie godziny później — 1,22 promille.

A gdzie się podziała czwórka terrorystów — pragnących uprowadzić państwowy autobus do Wikitna?

O pianie jeden ze słusarzy MPK widział na przystanku tramwajowym w Rzrowie czterech mężczyzn, z których dwóch wyglądało na podpijanych. Ale czy byli to, porywacze, uczestnicy wypadku?

Do dziś nikt nie wie, gdzie, kiedy i z kim Grzanecki pił wódkę i pewnie nigdy się nie dowie.

Wychodził więc na nowy odcinek serialu „Droga”, który nie doczekał się realizacji.

Bilans dość żalony: dwie setki wódki kosztowały tym razem 73.000 zł, tyle bowiem wyniosły straty poniesione przez rolników i MPK. Będzie więcej, jeśli doliczyć cierpienia fizyczne, strach, szok i stratę przez MPK kierowcy, o których dziś trudno. Kierowcy, któremu powierza się mienie społeczne oraz bezpieczeństwo i życie pasażerów.

Należał się dziwić, gdy kobiety, zwłaszcza te wiejskie, czynią znak krzyża, zanim wsiają do autobusu.

BIAŁA ŚMIERĆ

Federalne Biuro do spraw Narkotyków i Niebezpiecznych Środków USA bije na alarm. Hasłem wywoławczym, które stawia „na równe nogi” funkcjonariuszy amerykańskich organów ścigania wszystkich chyba rodzajów, jest heroína — „biała śmierć” — jak się popularnie określa ten najgroźniejszy z narkotyków. Heroína — dwuacetylmorfina, końcowy produkt chemicznej przeróbki opium uzyskiwanego z główki niedojrzałego maku lekarskiego (papaver somniferum).

Biała śmierć! Śmierć zbierająca coraz obfitsze, wielotysięczne żniwo wśród obywateli amerykańskich. Jak podaje jeden z ostatnich numerów Monthly Bulletin of Statistics New York, liczba zgonów narkotycznych sięga niemal liczby śmiertelnych wypadków samochodowych, zgonów na rakę, czy też śmiertelnych chorób serca i układu krążenia. Ciągłe wznosząca liczba amerykańskich narkomanów osiągnęła już prawie pół miliona.

Problem jest skomplikowany i bardzo kłopotliwy. Prawie półmilionowa rzesza amerykańskich narkomanów wydaje rocznie na narkotyki około 6 miliardów dolarów! Jest to suma ogromna, zważywszy że na leki i różnego rodzaju farmaceutyki Amerykanie wydają niespełna dwa razy tyle. Pieniędzy tych narkoman nie są w stanie zarobić legalnie. Zdobывают je w drodze przestępstw. Rośnie więc i tak już ogromna fala przestępczości w USA. Mnożą się mnisze i większe kradzieże, włamania, napady „a-bankowe” na właścicieli małych sklepów, lokali, agentów stacji benzynowych i innych drobnych posiadaczy oraz przypadkowych przechodniów. Wielkich bogaczy to nie dotyczy; nie zorganizowani narkotycyści deszczą nie są w stanie ich dosięgnąć. Najbardziej więc cierpi na tym tzw. przeciętni obywatele amerykańscy, nie posiadający prywatnych „schroni” i innych środków ochrony. Policja zaś jest tu prawie bezsilna. Wykrywalność sprawców tych drobniejszych przestępstw dokonanych pod wpływem głodu narkotycznego wynosi ledwie 5 proc. Ulice amerykańskich miast, zwłaszcza w mniej zamożnych dzielnicach, stała się coraz bardziej niebezpieczna.

Ściganie półmilionowej rzeszy potencjalnych i rzeczywistych przestępców jest mało efektywne i nie może być skutecznym sposobem walki z narkotycznym złem. Policja usiłuje więc przede wszystkim dotrzeć do handlarzy narkotyków do bossów tej sfery przestępczego świata. Ci są jednak na ogół nieuchwytni. Co najwyżej udaje się przylapać drobnych pośredników, bezpośrednio oferujących „towar” odbiorcom, oni jednak nie znają swoich bossów. Federalne Biuro do spraw Narkotyków i Niebezpiecznych Środków od lat szkoli specjalnych agentów, poprzez których usiłuje dotrzeć do „centra”

gangów zajmujących się handlem narkotykami. Jak na razie, nie przynosi to specjalnych sukcesów. Od 1970 r. do chwili obecnej prawie czterdziestu agentów specjalnych straciło życie w niewyjaśnionych okolicznościach. Gangsterzy związani z handlem narkotyków uchodzą za najtwardszych. Bez żadnych skrępowań „likwidują” każdego, kto mógłby przez zbytnią wścibskość zaszkodzić uprawianemu przez nich procederowi i pozbawić ich choćby części zysków. A zyski są tu ogromne — blisko 4 tysiące procent w stosunku do poniesionych kosztów! Gangsterzy pilnują więc skrupulatnie tego najbardziej dochodowego ze swoich interesów.

Policja zajmuje się w zasadzie kilkoma tylko rodzajami narkotyków których rozpowszechnianie i używanie jest oficjalnie zabronione. Należą do nich to przede wszystkim te, których używanie prowadzi nieuchronnie do trwałej, silnej narkozależności. Znajdują się wśród nich zarówno te najsilniejsze, śmiertelne, jak i stosunkowo łagodne, mniej szkodliwe.

Najbardziej zabronionymi narkotykami to szeroko rozpowszechnione w różnych kręgach zwłaszcza wśród młodzieży marihuana nazywana też: diabelskie zielenie, trawka, herbata, siano, pot. hasz. Od tego narkotyku bardzo często zaczyna się proces „uzależnienia”, a następnie trwały nałóg.

W latach czterdziestych ubiegłego wieku w drodze chemicznej obróbki surowego opium otrzymano morfina, do dziś stosowaną w praktyce medycznej jako najsilniejszy środek usmierzający ból, zwłaszcza u chorych na rakę. Morfina to jeden z najbardziej rozpowszechnionych narkotyków, dosyć łatwo niedkiedy dostępny właśnie ze względu na jego zastosowanie medyczne.

Wymienione narkotyki są groźne, jednak to nie one „spędzają” w „pówiek” amerykańskim organom ścigania i rządowi. Opium już prawie zniknęło z USA; obecnie jeszcze można je spotkać niemal wyłącznie w chińskich dzielnicach wielkich miast. Haszysz stał się dla „wyoko-cywilizowanych” narkomanów amerykańskich środkiem zbyt prymitywnym i już zbyt słabym przy tym jest on tam dość trudno dostępny. LSD „wyszedł z mody” zdominowały silniejszymi specyfikami, wywołującymi nieporównanie intensywniejsze „sensacje” halucynacyjne Morfina Amerykanom już się trochę „przejadła” choć jest jeszcze bardzo rozpowszechniona zwłaszcza wśród początkujących.

Dziś w USA narkotycznym problemem numer jeden jest heroína — dwuacetylmorfina narkotyki otrzymywane przez acetylowanie surowej morfiny bezwodnikiem octowym białej kryształowej proszku gorzkiej bez zapachu. Działa przeciwbólowo i narkotycznie podobnie do morfiny lecz wielokrotnie silniej (7-8 razy)

Szczególnie łatwo i szybko prowadzi do trwałej narkomanii, już po dwóch tygodniach używania. Kiedy lekarze orientowali się, jak szczególnie i wyjątkowo niebezpieczne właściwości posiada heroína, natychmiast wycofali ją z użycia. Heroína znalazła się na czarnej liście środków wyjątkowo niebezpiecznych i „powodowała do lamusa”.

Nie na długo jednak. Na początku lat trzydziestych naszego stulecia formuła produkcji „białej śmierci” dostała się w ręce przestępczego podziemia. W USA zakończyli się właśnie intratny dla gangsterów okres prohibicji i nielegalnego handlu alkoholem. Gangsterzy poszukiwali nowego źródła wysokich dochodów. Takim źródłem stała się heroína, kiedy zorientowano się, że za jej pomocą można całkowicie zawiadnąć narkomanem i jego kontem bankowym.

Działające w latach trzydziestych Unione Siciliano i Mafia po zakończeniu boju alkoholowego zaczęły handlować heroíną. Początkowo na niezbyt wielką skalę, w porównaniu ze stanem dzisiejszym, korzystając z usług przedsiębiorców i handlarzy azjatyckich i europejskich. Już w II połowie lat trzydziestych heroína stała się wielkim problemem amerykańskim.

Pod koniec II wojny światowej, po wyzwoleniu Francji powstał cieszący się pozurą siawa „francuski kanał” przetruty heroíną ze Wschodu na Zachód, do USA, z „centrum” w Marsylii. Kanał ten z powodzeniem funkcjonuje do dziś, choć zdarzają się „wpadki”. Np. pod koniec marca bieżącego roku aresztowano kolejnego francuskiego „kuriera” 24-letniego Henri Charriera syna osławionego gangster francuskiego „Motyla”.

Osiągnięcia amerykańskich i europejskich organów ścigania a także Interpolu w walce z narkotycznym „businessem” acz znaczne, nie komplikują jednak specjalnie interesów „handlarzy śmierci”. Amerykański szal heroínowy trwa nadal. Nie wiadomo, kiedy się skończy. Póki co, Ameryka dotkliwie odczuwa jego skutki. A skutki te to przede wszystkim sama narkomania z wszelkimi jej konsekwencjami, setki tysięcy bezproduktywnych i niebezpiecznych dla społeczeństwa nalogowców, ogromne wydatki na ich leczenie, szkodliwa dla bezrobotnych ofiar nalogu, olbrzymia ilość drobniejszych i większych przestępstw popełnianych przez desperatów potrzebujących pieniędzy na narkotyki, wreszcie finansowa przez amerykańskie podziemie z dochodów uzyskiwanych z handlu narkotykami cała gama przedsięwzięć sprzecznych z prawem, z matactwami wyborczymi włącznie.

Tak jest dziś w Ameryce i prawdopodobnie tak będzie jutro. Według danych Federalnego Biura do spraw Narkotyków i Niebezpiecznych Środków rocznie 7-8 ton heroíny zatrąwa organizmy tysięcy obywateli amerykańskich, zwłaszcza młodzieży, powodując wiele wypadków śmiertelnych. Walka zleńcównych sił policyjnych z handlem narkotykami trwa. Polje często odnosi sukcesy. Świadome tego gangi marazynują „towar” by utrzymać jego cenę i dostarczać chętnym nawet wtedy, gdy w jakiejś akcji policyjnej zostanie przechwycona większa partia narkotyków „z importu”.

Mak lekarski, którego sok stanowi surowiec wyścielony do produkcji heroíny uprawia się w wielu krajach świata, zwłaszcza na Wschodzie. Jest to konieczne ze względu na zapotrzebowanie medyczne na morfina, która przelę też wytwarza się z papaver somniferum. Problem polega na tym, gdzie kończy się uprawa legalna, a zaczyna przestępcza.

Główne tereny uprawy maku to Azja południowo-wschodnia ze słyn-

nym złotym trójkątem w styku granic Laosu, Birmy i Tajlandii, Chin, następnie Bliski Wschód — szczególnie Turcja z plantacjami w Anadolii, potem Iran, Syria, Jordania, Afganistan, Indie, wreszcie Ameryka Środkowa, a głównie Meksyk.

80 proc. heroíny przemycanej do USA pochodzi z Turcji, 10 proc. z Meksyku, reszta z Dalekiego Wschodu, Iranu, Syrii, Afganistanu. Największym dostawcą jest więc Turcja produkująca nielegalnie ponad 30 ton opium rocznie, co daje po przeróbce chemicznej około 10 ton heroíny. Z tego grubo ponad 7 ton „wędruje” do USA, wszystko prawie bez wyjątku „francuskim kanałem”, przez Marsylię.

A oto jak przebiega trasa „białej śmierci”. We wschodniej Turcji, na płaskowyżu Anadolii ziemia jest jałowa, dzika, pusta, niestrzeżona. Oprócz maku nie na niej nie rośnie. Chiopi z tego regionu uprawiają więc mak, jedyną dla nich źródło dochodu. Rząd turecki „przymyka oczy” na to, bowiem ściśle zakaz uprawy maku groziłby całkowitą ruiną ekonomiczną Anadolii, z poważnymi konsekwencjami dla całej gospodarki tureckiej.

W połowie lata, gdy mak zaczyna dojrzewać z boku pękających główek robi się nacięcia. Z nich wypływa biały, lepki sok, który na powiecie; wysycha, tworząc brunatne grudki podobne nieco do surowego kauczuku. Te grudki to surowe opium. Zbiera się je i formuje w kilogramowe bloki. Zbierają je handlarze narkotyków, placąc 10-12 dolarów za kilogram. Następnie, jeszcze w Anadolii, opium przerabia się na surową morfina gotując je z palonym wapiem. Z 10 kilogramów opium uzyskuje się w ten sposób jeden kilogram morfiny pozbawionej nieprzyjemnego zapachu i łatwiejszej do transportu. Kilogramowy blok morfiny kosztuje już 120-150 dolarów.

Z Anadolii morfina jest przetrzucana do Marsylii, różnymi drogami. Znany jest tylko kierunek przesyłki i niezależnie od tego pośredników, „kto” nie wie, kto jest „nadawcą” a kto „odbiorcą”. Jedno tylko jest pewne że cała operacja została wcześniej uzgodniona i przygotowana przez tureckich i francuskich bossów tego interesu.

Po przybyciu do Francji kilogramowy blok morfiny kosztuje już około półtora tysiąca dolarów. Zysk tureckich eksporterów narkotyków jest więc dziesięciokrotny, w stosunku do cen zakupu u anadolickich chłopów.

W Marsylii surowa morfina jest kierowana do nielegalnych laboratoriów, o stosunkowo prostym i skromnym wyposażeniu. Jest ich wiele; cała „armia” francuskich chemików dorabia sobie na przerobieniu morfiny. Laboratoria te są niezmiernie trudne do wykrycia ze względu na ciągłe zmiany lokalizacji. Przeniesienie takiego laboratorium trwa ledwie doł. Każdorazowo jedynie trzech ludzi zna jego lokalizację: deceniodawca chemik i jego asystent.

Surowa morfina miesza się z acetonem i bezwodnikiem octowym. W wyniku reakcji chemicznej powstaje czysta heroína — kilogram w kilograma morfiny. Jej cena wynosi już 5 tysięcy dolarów, oczywiście za kilogram!

Teraz do akcji włączają się francuscy „kurierzy”, załatwiający przetrut heroíny do USA. Przedsięwzięcie to jest niezmiernie ryzykowne, ze względu na bardzo wysokie kary za przemyt narkotyków, ale też niezwykle zyskowne. Cena kilograma

heroíny w USA wynosi już bowiem 20 do 25 tysięcy dolarów!

Gdy „towar” przejmują w swoje ręce amerykańscy handlarze narkotyków, cęcy, a zatem i zyski, gwałtownie skaczą w górę. W organizowanych i utrzymywanych przez gangi nielegalnych „przetwórniach” heroína jest przygotowywana do użycia. Mieszają ją z laktozą, glukozą, czy innymi nieszkodliwymi „nośnikami”. W ten sposób z jednego kilograma heroíny otrzymuje się 20 tysięcy pojedynczych porcji, z których każda waży 1 gram; w takiej porcji czysta heroína stanowi 5 proc., reszta to „nośniki”. Pojedyncze dawki muszą zawierać tak małe ilości heroíny, większe bowiem mogłyby spowodować gwałtowną śmierć, zamiast narkotycznego transu. Jedna porcja kosztuje około 30-40 dolarów. Cena kilograma heroíny wynosi więc już przeciętnie 700 tysięcy dolarów! Pomnożymy to przez 8.000, tj. liczbę oprowadzającą łącznej ilości kilogramów sprowadzanej co roku do USA heroíny, a otrzymamy 5,6 miliarda dolarów. Tyle Amerykanie wydają rocznie na heroína, a brakująca do 6 mld dolarów reszta — na inne juczsze narkotyki.

Jeden narkoman wydaje przeciętnie rocznie 12 tysięcy dolarów na narkotyki, tj. około 1.000 dolarów miesięcznie. Tyle narkoman nie są w stanie zarobić legalnie w żadnym sposób. Pozostaje tylko droga przestępcza. Mnożą się więc w oszalałym tempie akty bezprawia, rośnie fala przestępczości do gigantycznych rozmiarów. Co 2 minuty w Stanach Zjednoczonych zostaje popełnione poważniejsze przestępstwo, co 20 minut ktoś zostaje ranny w napadzie, co 45 minut pada ofiara zabójstwa! Ogromny udział w owych przestępstwach mają właśnie narkoman!

Federalne Biuro do spraw Narkotyków i Niebezpiecznych Środków bije na alarm! Jak dotąd bezskutecznie. Gangi handlarzy narkotyków mają się wszelkich dostępnych im środków i sposobów, byle tylko utrzymać przynajmniej im wielkie zyski procederu. Nagminnie są przypadki przekupstwa skorumpowanej do dna policji, funkcjonariuszy celnych, a nawet wysokich urzędników państwowych. Im wyższe stanowisko w systemie władzy zajmuje biurocrata, tym ona jest większa. Bývá, że w grę wchodzi milion dolarów 2 miliony, 3 miliony! To dużo, ale o się opłaca „handlarzowi śmierci” i to bardzo. Stona zysku wynosi przecież w tym „interesie” 3,5-4 tysięcy procent, jak nigdzie indziej.

1 marca 1978 r. okręgowa kasa w Louisville w stanie Kentucky zamknęła swój dzień pracy przyjęciem kolejnej ofiary heroíny, 6-miej w tym dniu, 15 marca br. dr Georg Reveson zakończył swój dzień pracy w okręgowej kostnicy w Houston w stanie Texas sekcją zwłok kolejnej, szóstej tego dnia ofiary heroíny. Była nią młoda, zaledwie 16-letnia dziewczyna Jenny najmłodszą córką dra Revesona, obchodząca tego samego dnia swoje 16 urodziny. Dr Reveson brał udział w uroczystym przyjęciu, nawet się uśmiechał. Jego myśli jednak wybiegały w przyszłość z wielkim niepokolem. Czy Jenny wszystkie kolejne urodziny będzie obchodziła tak radośnie jak dzisiaj? Czy też może któregoś dnia skończy tak jak Charlie najstarszy syn Revesonów, w któregoś okroczony kostnicy, a przynajmniej zgonu nie będzie ona — bezcenna „biała śmierć”?

Podobne pytania zadają dziś sobie miliony rodziców amerykańskich. Przede wszystkim Amerykanów. Bo sam problem jest przede wszystkim amerykański.

Wódka ratuje życie

Niedawno temu opublikował „Dziennik Wieczorny” — „List otwarty do kumpła po kielichu” — ów wyeksponowany w szlachetnej intencji list przypomina, że 1 litra alkoholu, do zwykłego pół litra żytku prowadzi do alkoholizmu, utraty zdrowia, nie ma więc innej rady tylko walić jak w dym do poradni antyalkoholowej. Skutek mrowany już po pierwszym wzięciu, bez wódki można się obić — w każdej sytuacji.

Czyżby? Pielegniarz z opolskiego pogotowia ratunkowego — o czym doniosła ostatnio prasa — który został wezwany do nieroztomnego człowieka, oświadczył rodzinie: pół litra i to już, albo odwiezie chorego do Izby Wyrzędzeń, lub zostawi. Zostawił. Nawiasem warto dodać że chorego dowziął wylewu krwi do mózgu i leży 14 lat. Wynika z tego, że każdy z nas musi mieć pół litra pod ręką, czas więc zrewidować metody zwalczania alkoholizmu proponowane przez naszych dziadków i „Dziennik Wieczorny”. Bez wódki ani rusz.

który nie posiada telefonu, dwa razy dziennie chwytą za słuchawkę w celach ściśle prywatnych za co nasze zakłady pracy płać rocznie około 7 miliardów złotych. Można z tego stanu wnosić że trzeba szybko rozbudowywać sieć telefoniczną. Spółna wydatki instytucji społecznych na rozmowy prywatne, zwiększyć się za darmo wiedza lednych abonentów o drugich jako że godziny otwarte trwają, godziny — rzecz prosta — bardzo wychowawcze.

A propos wychowania. Przeczytałem w „Zielonym Sztandarze”, że niektóre nasze kuratoria nałożyły na młodzież obowiązek dostarczenia do zbiorniczy 10 kiloeramów makulatury mieszczenie. Za niewykonanie tego polecenia uczniowi grozi obniżenie stopnia ze sprawowania. Za przekroczenie można otrzymać piątkę z plusem, szóstkę, a nawet siódmkę. Trudno nie docenić wagi takiego zalecenia. Młodzież nie tylko uczestniczy w ogólnym wysiłku poprawiania naszej gospodarki surowcami wtórnymi ale także uczy się żyć. Falszweg zaświadczanie o dostarczeniu 100 kg makulatury, wypisane przez dorosłych, kosztuje 150 złotych. Krzywa

rośnie aż miło, jak u tatusia w zakładzie.

Kilka razy w tygodniu mój prywatny telefon, podobnie zreszta jak i służbowy ma otwarte godziny słychać mnóstwo rozmaitych rozmów. Dziś dowiedziałem się, na przykład, że „misio” odwiedził „kruszynkę” jak zwykle to jest w porze drugiego śniadania kiedy ten wlepek znaczy maź, będzie w miejscu pracy, „kruszynka” doda do stołu armeński koniaczek za którym „misio” tak przepada. Dowiedziałem się także że Wacek odwiedził Francka i pęknie co najmniej 1 litr, obaj przyjaciela zapewniali się wzajemnie o znakomitej formie. Jakis magazynier informował jakiegoś klienta że bez „pół basy” nie ma mowy o kleju do tapet, pewna pani przyrzekała chęba lekarzowi chorób roślinnych francuski koniak za wyleczenie ukochanej palmy z jednej firmy „Feniks”. Usłyszałem tylko kilka rozmów bezalkoholową obaj rozmówcy mieli już wyraźnie dość wódki. Wynika z tego braku ochrony tajemnicy rozmów prywatnych, że bez wódki nie ma życia. Wszystko co można jeszcze uczynić to spróbować wprowadzenia do użytku publicznego norm zużycia alkoholu. Za uratowanie palmy — ciwiarka za części zamienne klej do tapet, awaria — litr importowanego koniaku pół litra za zamowienie się cudzą żoną etc. i zapamiętaj jakis porządek w społeczu alkoholu. Winnych można karać zwiększeniem dawki.

W „Życiu Radomskim” ukazał się przed kilku miesiącami wywiad z

prorektorem Politechniki Świętokrzyskiej pod bardzo wymownym i optymistycznym tytułem: „Nowy model działania dydaktycznego uczelni”. Na ten właśnie temat pan prorektor powiedział co następuje:

„Od nowego roku akademickiego wprowadziliśmy jeszcze jedną innowację — obowiązek uczestnictwa w zajęciach. Chodzi o to, by młodzież wdrożyć do pewnej dyscypliny w toku studiów. W zasadzie jest to kontynuacja pewnych rygorów jakie obowiązuja w szkole średniej i patrzeć perspektywnie — również i w zakładzie pracy gdzie należy przychodzić na określoną godzinę. Dla czego więc na studiach ma w tym procesie następować niewiedza?”

Stusnie. Gdyby studenci nie dowiedzieli się, że do pracy trzeba przychodzić, a strażacy gaszą pożary, rolnicy sieją i zbierają zaś krawcy szyją ubrania mogliby sądzić że nie muszą uczeszczać na wykłady, seminaria i ćwiczenia. Rzeczywiście po raz pierwszy w dziejach naszych uczelni spotykamy się z tego rodzaju absolutnie nowym modelem działania dydaktycznego.

ficznej macicy usadowiła się, perelka sztuki aktorskiej.”

Boże. Ty patrzysz i nie grzmisz! W tym samym piśmie — „Nadodzie” pisze inny krytyk Bogusław Kierr: „Osobliwa fizjologia aktów poetyckich Waśkiewicza można by porównać z fizjologią miłośców. To prawda, że w pierwszym czytaniu erotyka wydaje się sekrecją uduchowiań, spółkowaniem abstrakcji z jej anielską analogią. Jest to pozor. Miecz zwykły zajmować w erotyce miłoścy symboli fallicznych. U Waśkiewicza nie jest to tak oczywistym pseudonimem. To ono, w które wnurza się nasi bohater pełne jest mieczy i noży. Kwiat krwi będąc ciemnym źródłem tej najkrótszej i wiecznej podróży jest ciemnym snem noży, znowa mieczy.”

Jak to czytelnik przypomina mi się tytuł artykułu z gazety Głos Szereciński — „Jak uprosić kpa?” Obawiam się, że kpa nie da się uprosić. Tak jak nie da się sprzedać „Bzdźwiagwi na trzyzłorach”. Otworzył ją niedawno niewien właściciel na łamach „Zycia Warszawy”. Nikt nie zrozumiał o co właściciel chodzi.

I tym optymistycznym akcentem kończę orzeczniokujące państwo, że skorzystów wyprodukowanych przez Zakłady Papiernicze w Zielonej Górze nie należy — jak poucza instrukcja — gotować.

CZŁOWIEK NA KRAWĘDZI

Nowy film Andrzeja Żurowskiego podejmuje problematykę luksusu dla polskiej kinematografii. Luksusowa to w tym wypadku nie oznacza zbytnią, lecz niecodzienną i niezwykłą. Film nasz uwikłany między potrzeby i nakazy chwili z jednej strony, ciśnienie historycznych tradycji i stereotypów z drugiej i komercyjną ciętą z trzeciej bardzo rzadko ma okazję i możliwości zwrócić się w te regiony tematyczne, które nie podlegają do-
rażnym ocenom i przymiarom czasu bieżącego. Wymiar problemowy i tematyczny tego filmu jest znacznie szerszy niż tytułowy. „Pokój z widokiem na morze”. Tytuł przewrotny, bowiem sugeruje coś w rodzaju melodramatu z komediowym wydźwiękiem, tymczasem jest to rzecz o sprawach ostatecznych. Czyli o samobójstwie.

Film przedstawia sytuację, zapewne autentyczną, która może się zdarzyć każdego dnia. Oto młody człowiek nie wiadomo dlaczego (i film na to pytanie odpowiedzi nie udziela) wbiega na dwudzieste pięto gigantycznego biurowca w portowym mieście, staje na parapacie, lecz przerażony odcinaniem ulicy w ostatniej chwili cofa się, boi się skoczyć, sparaliżowany strachem stoi przez kilkanaście godzin na krawędzi, trzymając się kurczowo okna. Fabuła filmu przedstawia historię wysiłków społeczeństwa, które wszystkimi sposobami usiłuje nakłonić desperata do rezygnacji z powziętego zamiaru. Twórców filmu nie interesuje samobójca, jego motyw, stan wewnętrzny, poglądy i uczucia. Samobójca jest anonimowy. W czołówce filmu nazwisko odzwierciedlające rolę wykrepowaną. Nie widać jego twarzy, tylko sylwetkę. Samobójca-Everyman. Jego reakcje są stereotypowe, aytowane przez skrajne napięcie psychiczne („Nie zbliżać się!”) postadają w toku upływu akcji olbrzymi ciężar dramatyczny.

Nie chodzi jednak tutaj — powtarzam — o niedozwolonego denata. Nie jest to problem Kiryłowa z „Biesów”. Reżysera nie interesuje „filozofia samobójstwa” jako aktu moralno-intelektualnego wyboru, tragicznego rezultatu wewnętrznego dramatu jednostki. Film rozpoczyna się w chwili, kiedy fatalna decyzja już została podjęta, już na progu ostatecznej rozpacz, której przyczyn nie znamy i nie poznamy.

Zasadniczym tematem „Pokoju z widokiem na morze” jest społeczny kontekst tego faktu. Od reakcji samobójcy istotniejsze są instytucjonalne reakcje społeczeństwa, które mobilizuje wszystkie środki zapobiegawcze, wszystkie znane i dostępne techniki działania przewidziane na taką okazję. Węć wkracza milicja wezwana przez szefa biura, któremu nieposłuszny gość zorganizował pracę, a wraz z milicją prokurator. Prokurator jest ponagliany do energicznych działań przez „czynnik energiczny”, bowiem człowiek na parapacie wywołuje niepożądaną sensację. Padają propozycje rozwiązania czysto praktyczne: od akcji strażackiej aż po projekt obezwładnienia przez kaskadę. Ale przecież we współczesnym społeczeństwie do rozwiązywania sytuacji trudnych i wyjątkowych są eksperci, czyli ludzie nauki. Do działania przystępuje dwóch naukowców: młody energetyk i psycholog eksperymentalny o nastawieniu czysto pragmatycznym i profesor-emeryt opierający się bardziej na swoim życiowym doświadczeniu aniżeli na podrecznikowych teoriach i wynikach eksperymentów. Młody doktor jest niecierpliwy, pragnie szybkich rezultatów, szuka przyczyn samobójstwa, motywacji i tła społecznego samobójczego gestu. Przeciwnie człowiek jest istotą społeczną i jego życie psychiczne wyzerpuje się bez reszty w kontaktach z innymi. To jest jego aksjomat, który reżyser, pragnąc wyostreć konflikt obu naukowców, racji obrazuje w sposób zbyt dosłowny i prymitywny, choć nie pozbawiony czysto fabularnej pomysłowości. Natomiast profesor odrzuca to samobójczego aktu i pragnie dotrzeć do desperata na drodze najprostszego, najbardziej elementarnego gestu zrozumienia i współczucia. Skrótem symbolizującym jego postawę jest morze, którego bezmiar rozciąga się za oknem jako skala odniesienia dla miłośnika i banalności ludzkich spraw. Intencje profesora są zrozumiałe, a cele jego humanistycznej terapii oczywiste. Jest to postać mniej schematyczna i stereotypowa niż jego przeciwnik, a jednak równie banalna i mało odkrywcza.

Konflikt obu naukowców młodego psychologa-technokraty, który spogląda na człowieka jak na mechanizm do naprawienia i starego profesora, który w samobójcy stara się rozpoznać skomplikowaną istotę ludzką, myślicia i czującego, choć ten konflikt mimo iż krąży wokół wielkich prawd o człowieku nieczego w ostatecznym efekcie nie odkrywa. Ten spór jest rezonerski i demonstruje prawdy oczywiste, powierzchowne.

Dzieje się tak dlatego, że autorzy scenariusza (reżyser i Maciej Karpiński) wpadli jak w pułapkę w ten sam tryb myślenia, który usiłovali skrytykować. Pomysł tego filmu jest a priori aprioryczny. Nadto skonstruowana i wyspekulowana dyskusja obu psychiatriów jest zbyt ilustracyjna wobec z góry założonej tezy. Powiem inaczej: scenariusz tego filmu mógł się zrodzić bardziej w głowie młodego naukowca niżeli starego uczonka.

Tak więc ten bez wątpienia pełen intelektualnych aspiracji film wydaje mi się bardziej ciekawy nie w swoim myślowym przesłaniu, lecz w warstwie krytycznych obserwacji. Tam gdzie obraz obnaża skrajną instytucjonalizację naszego życia zbiorowego i biurokratyzowany sposób myślenia film wypełnia się żywą i wiarygodną treścią. Jednakże satyryczny tryb opisu klęczy się z powagą sytuacji, która jest esją dramatu. Konkluzja: „Pokój z widokiem na morze” to film ambitny, ale niedojrzały.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI



Foto: W. Parys

KONRAD FREJDLIH

CZAS NA PRZEBUDZENIE

Choć od wynalezienia kinematografu minęło blisko sto lat, technika filmowa nie przestaje fascynować jak w czasach jego narodzin. Nawet dziennikarze, ludzie bądź co bądź bywali w świecie, nazywają wytwórnie filmowe fabrykami snów. Na celuloidowej taśmie można przecież wyzarować dosłownie wszystko. Tylko, że te czary są bardzo kosztowne, a sny nie kosztują nikogo ani grosza. Węć może już czas na przebudzenie?

Kiedy powstawały „Zakazane piosenki” pierwszy powojenny polski film fabularny, problem właściwie nie istniał. Po zniszczeniach wojennych kinematografia nasza startowała od zera. Sprawa kosztów produkcji nie wydawała się najważniejszą, także w latach pięćdziesiątych, kiedy realizowaliśmy ledwie około 10 filmów rocznie. Ale już następne dziesięciolecie, kiedy produkcja podwoiła się, powinno dać kierownictwu naszej kinematografii sporo do myślenia. Choć film należy do sfery życia artystycznego, gdzie pieniądze były zawsze rzeczą wstydliwą, myślenie kategoriami ekonomicznymi jest w nim równie ważne jak najbardziej wysublimowane wloty ducha. Koszty produkcji stacjonaria bowiem nie tylko barierą techniczną, ale par excellence estetyczną. Prawda jest, że celuloidowa taśma potrafi wiele ukryć, że przy pomocy skomplikowanych tricków można na przykład w basenie przeciwpożarowym rozegrać bitwę morską żaglowców, które na ekranie będą wyglądały jak prawdziwe. Ale prawda jest też, że kamera bezlitośnie obnaża wszystkie fałszywe dekoracje, braki w charakterystyce, niedostatek kostiumów. Zimne oko kamery jest po stronie prawdy, a prawda jest w filmie kosztowna. I są to sumy niebagatelne, wynoszące miliony złotych przy jednym tylko tytule, a przemnożone przez całokształt rocznej produkcji naszej kinematografii już bardzo poważne, którym należałoby się przyjrzeć.

W końcu lat sześćdziesiątych realizowaliśmy 25 filmów rocznie. W następnym dziesięcioleciu ich liczba jeszcze wzrosła i oscyluje dziś pomiędzy 30-40 tytułami. Podana przez mnie liczba dotyczy tylko filmów pełnometrażowych przeznaczonych na ekrany kin. A przecież za plecami kinematografii pojawił się groźny konkurent w postaci telewizji, która wkrótce podjęła własną produkcję. Agendy „Polteku”, który wyspecjalizował się w realizacji filmów telewizyjnych wyrastają jak grzyby po deszczu i wkrótce nie będzie chyba ośrodka, który zrezygnowałby z szansy realizowania własnych filmów przeznaczonych na szklany ekran, w tym także odcinkowych filmów fabularnych.

Ten dynamiczny rozwój spowodował nawet potrzebę budowy nowej wytwórni filmowej, gdyż zarówno łódzka jak i wrocławska trzeszcza już w szwach. Czas skierowania f. l.

mu do produkcji wydłużył się, mimo że wytwórnie czynią gorączkowe wysiłki, aby sprostać rosnącym zadaniom. W łódzkiej WFF zlikwidowano na przykład jeden z magazynów zamieniając go na zaimprovizowaną halę zdjęciową. I chociaż projekt budowy nowej wytwórni uległ chwilowemu zawieszaniu, problemu nie da się przecież zawiesić. Budowa nowej wytwórni w Warszawie pozwolił zapewne rozszerzyć produkcję filmów o dodatkowych kilka tytułów, ale zasadniczo sytuacji nie rozwiąże. Jeśli rzeczywiście chcemy stworzyć w Polsce przemysł filmowy (a film, jak wskazuje doświadczenie wielu krajów jest cennym artykułem eksportowym) trzeba także już dziś sięgnąć po te środki, które mają te zalety, że nie wymagały żadnych nakładów, a tylko działań typu organizacyjnego.

Nie tak dawno nasza telewizja radła interesujący reportaż z Hollywood pokazując nie tylko słynny Disneyland, ale także zaplecze techniczne amerykańskich koncernów filmowych: miasteczka westernowe, różne typy hotelek i ulic poczynając od starohiszpańskich, aż po fragmenty miast współczesnych, pałace. Ten świat na niby wygląda na ekranie jak prawdziwy, chociaż jest tylko dekoracją. Dekoracją czekającą na realizatora. Kiedy nie realizuje się filmów, dekoracje są skansenem liczącym odwiedzianym przez turystów. Wpływy za bilety pokrywają nie tylko koszty konserwacji tych dekoracji, ale przynoszą jeszcze nie mały dochód właścicielom Disneylandu.

Po cóż zresztą sięgać do tak okrzykanego przykładu. Ktośkolwiek zwiadał radziecki „Mosfilm” wie, że ta wytwórnia dysponuje nie tylko potrzebnymi halami zdjęciowymi, ale także zapleczem pienerowym. Zdjęcia robione pod dachem, w pudle hali stanowią przecież tylko część filmu, równie uprawiony jest właśnie pether, otwarta przestrzeń i przestrzeń zabudowana.

Kiedy Wojciech Has kręcił zdjęcia do „Lalki” musiał wybudować w ośmierz fragment Krakowskiego Przedmieścia, żeby oddać klimat dziewiętnastowiecznej Warszawy.

Kiedy Jerzy Passendorfer realizował film „Kierunek Berlin” wybudował w plenerze Bramę Brandenburską, aby zatknąć na niej polską flagę, bo tego wymagała prawda historyczna i scenariusz.

Kiedy mój przyjaciel Wojciech Fikwek dokonał filmowej adaptacji Prusowskiego „Antka” wybudował wiejską kuźnię w stylu epoki. Kuźnia wyglądała tak solidnie, że okoliczni chłopcy chcieli ją odkupić od filmu i osadzić w niej kowala.

Koszty budowy takiej dekoracji kształtują się różnie: czasem wyroszą 100 tysięcy złotych, ale często i pięć razy więcej. Wszystkie te deko-

racje zostały rozebrane pochłaniając dodatkowe wydatki, bo rozbiórka o-ktu także kosztuje.

Czytam teraz, że reżyser Wionczek, który przygotowuje się do realizacji filmu „Sekret Enigmy” zamierza wybudować nie istniejący już dziś Pałac Saski. Nie wiem, ile wyniosą koszty budowy tej dekoracji, chociaż za pewno muszą być znaczne. Wierzę jednak, że po zakończeniu zdjęć Pałac Saski zniknie z powierzchni ziemi i jedynym śladem jego istnienia będzie rejestracja na taśmie filmowej.

Czy tak rzeczywiście być musi? A przede wszystkim czy jesteśmy na tyle bogaci, aby pozwolić sobie na działania, na które nie stać ani Amerykanów, ani Rosjan?

Dzisiejsze Zespoły Realizatorów Filmowych finansowane przez Przedsiębiorstwo Realizacji Filmów są nie tyle luźną federacją kolektywów

twórczych, ile domena działad indywidualnych, które najlepiej charakteryzuje porzekadło: „Nie wie lewica, co czyni prawica”. Kiedy Ryszard Ber, w kilka lat po Wojciechu Hasie podjął realizację „Lalki” dla telewizji, musiał od początku budować wszystkie dekoracje, bo poprzednie już po prostu nie istniały. Nie jestem pewien, czy nie trzeba było budować tego samego fragmentu Krakowskiego Przedmieścia, które jako ulubiona ulica spacerowa wyższych sfer Warszawy gra tak niepoślednią rolę w powieści Prusa. A budowa nowych dekoracji to nie tylko ważne zresztą koszty. To także moce przerobowe pracowni dekoracji to konieczność oczekiwania na budowę (czas to przecież także pieniąż), to dodatkowe zaangażowanie scenografów i ekip technicznych.

Problem jest zresztą bardziej złożony. Tylko realizatorzy filmów historycznych, choćby nawet z niezbyt dalekiej przeszłości, wiedzą, ile dzieł wysiłków i zabiegów wymaga znalezienie zwykłej wioski z dachami krytymi strzechą, tak dalece przeobraziła się nasza wieś. Wioski takie najczęściej się buduje, aby uniknąć sąsiedztwa murawańców dachów krytych eternitem, anten telewizyjnych, słupów i przewodów elektrycznych. Coraz większym problemem w filmie stało się znalezienie ulicznego bruku, bo w miastach wszędzie dziś mały asfalt. Do rangi problemu urasta także otwartej przestrzeni, której nie demaskują linie wysokiego napięcia.

Dlatego też do sprawy pierwszorzędnej wagi dojrzało dziś zagadanie założenia skansenu filmowego, który choć w części zaradzi kłopotom realizatorów i kierowników produkcji, a jednocześnie pozwoli realizować filmy fabularne mniejszym kosztem i sprawniej. Wiadomo, że taki skansen nie od razu w pełni wykaże swoją przydatność, ale wystarczy parę lat, aby wszyscy odzucili jego dobrodziejstwo. Jeden obiekt dostatecznie konserwowany może bez dodatkowych nakładów sprawdzić się w wielu filmach znacznie obniżając globalne koszty naszej kinematografii. Może także taki skansen, obok swego zasadniczego przeznaczenia, spełniać poważne funkcje poznawcze. Może być właśnie takim trochę niezłomnym królestwem rodem z Disneylandu stanowiącym turystyczną atrakcję. Cóż, interwencja człowieka w środowisko naturalnym, w pomnikach architektury posunęła się już tak daleko, że świat nie skąpiłby niestety ewilizacji, możemy jeszcze oadać tylko w oarkach narodowych i w skansenach.

I chociaż środowisko filmowe zabiega o budowę trzeciej wytwórni filmów fabularnych w Warszawie, trzeba pomyśleć już dziś o budowie wytwórni ewilizacji; wytwórni pleierowej usytuowanej pomiędzy Łodzią i Wrocławiem, powidny na terenie dzisiejszego województwa sieradskiego. Wydaje mi to nie zadaniem ni, nijszym niż wnoszenie nowych hal zdjęciowych. Tym bardziej, że taka wytwórnia wymaga tylko wytyczenia odpowiednich terenów, a zrealizuje się samorzutnie podczas realizacji kolejnych filmów. Jesteśmy bowiem za biedni na nieustanne marnotrawstwo, na które nie stać nawet najbogatsze kraje. Za fabrykami snów kryje się rachunek ekonomiczny, który nam mówi, że już najwyższy czas się przebudzić.



Foto: W. Rozmystowicz

U PRZYJACIÓŁ

Ogromne zainteresowanie w ZSRR wywołała wiadomość, że jeden z czołowych poetów radzieckich Jewgienij Jewtuszenko, kreuje w filmie rolę Konstantego Ciolkowskiego — twórcy teoretycznych podstaw astronautyki, prekursora dzisiejszych lotów kosmicznych. Pragnąc — na liście prośby czytelników — wyjaśnić rzecz o źródła, redakcja „Sowietskiej Kultury” zwróciła się do J. Jewtuszenki, który tak motywuje swą decyzję:

— Kiedy reżyser Sawwa Kulisz zwrócił się do mnie z propozycją zapoznania się ze scenariuszem filmu o Ciolkowskim i dokonania próbnych zdjęć z myślą o objęciu przeze mnie głównej roli w filmie „Wzlot” — ogarnęły mnie poważne wątpliwości — czy dam sobie w tym razie? Scenariusz podobał mi się chociażby dlatego, że ukazuje Ciolkowskiego nie jako oderwanego od życia dziwaka, lecz jako świadomą swych celów, silną indywidualność. Należy zaznaczyć, że za dziwaka uważali Ciolkowskiego tylko ci, którzy mieli mu „za złe”, że nie pije, nie pali, a każdy grosz przeznaczają na wydawanie swych broszur, słowem, ogranicza się we wszystkim w imię wytyczonego przez siebie celu. Prześtudiowałem masę materiału biograficznego i ujrzałem przed sobą nie zasuszonego uczonego, lecz człowieka pełnego pasji, delikatności uczuć, nie pozbawionego poczucia humoru, człowieka, który z niezwykłą konsekwencją eliminował w swym życiu wszystko to, co stało na przeszkodzie w urzeczywistnianiu jego ideałów. Kiedy przystąpił do pracy na planie, najpierw było wiele kłopotów z charakterystyką. Ale, oczywiście, wyglądem zewnętrznym nie wszystko. Stanęliśmy wobec bardziej wąskiego problemu: jak ukazać wewnętrzny świat tego niezwykłego człowieka?

W Związku Radzieckim ukazał się pierwszy numer czasopisma „Literaturnaja Uczeba” („Studia Literackie”) — wydawanego pod patronatem Związku Pisarzy ZSRR i Lenińskiego Komitetu. Specyfika nowego periodyku polega na tym, że stanowi on rodzaj trybunu dla młodych twórców, stawiających pierwsze kroki w literaturze — prozie, poezji, dramaturgii i krytyce. Powołanie tego rodzaju czasopisma postulowano już od dawna — stwierdza w artykule redakcyjnym „Literaturnaja Uczeba” — stanowią one kolejny przejaw troski partii i państwa wobec twórczej młodzieży. Trzeba sobie od razu powiedzieć, że zadania stojące przed kolegiem redakcyjnym „Literaturnej Uczebny” są szczególnie trudne i odpowiedzialne. Wiemy bowiem wszyscy, jak istotne dla debiutanta jest ukazanie się w druku jego pierwszego utworu. Jest przecież przekonany, że odniósł sukces. Na pierwszy etap swego twórczości może się nie sprawdzić. Dlatego warto podkreślić, że założeniem nowego czasopisma nie jest bynajmniej pasowanie młodych na pisarzy, lecz jedynie poddawanie ich twórczym próbom jak najsurowszej krytyce — zarówno czytelników, jak przede wszystkim doświadczonych mistrzów słowa.

Film znanej dokumentalistki radzieckiej Mai Merkel pt. „Co o tym sądzicie?” dotyczy problemów niefortunnego wyboru wyższych studiów i przyszłego zawodu przez absolwentów szkoły średniej, a ściślej — oblegania przez młodzież popularnego w ZSRR Wszelchzwiązkowego Instytutu Kinematografii. Setki kandydatów kładą po korytarzu i przed drzwiami, prowadzącymi do studia Sergiusza Gierasimowa i Tamary Makarowej. Gierasimow, wybitny reżyser i pedagog, wychowawca paru pokoleń filmowców, przeprowadza w ciągu roku wiele rozmów z potencjalnymi Hamletami i Julietkami. Niestety, większość spotkań młodzi z Gierasimowem kończy się na wstępnych przesłuchaniach. Film pokazuje ten właśnie gierasimowski „korytarz zawieszonych marzeń”. Zapoznaje nas z niedoszłymi kandydatami i kandydatkami. Te ostatnie zresztą stanowią przytłaczającą większość. Drugi plan filmu — to wizyta w jednej ze szkół średnich, gdzie jesteśmy świadkami rozmów z nauczycielami i uczniami na temat zainteresowań młodzi, ich planów życiowych, wyboru zawodu. Film „Co o tym sądzicie?”, adresowany zarówno do pedagogów, jak i w znacznej mierze do rodziców i samej młodzieży, nie przynosi, oczywiście, gotowych rozwiązań czy recept. Zmusza jednak do myślenia, jak istotną sprawą, decydującą o całym życiu człowieka jest właściwy wybór zawodu. A przesłanie filmu pod adresem niedoszłych „gwiazd ekranu” jest proste: pracowitość zapewnia stabilizację życiową, a dopiero talent połączony z pracowitością może przynieść sławę. Ale talenty nie rodzą się co dzień, natomiast pracować trzeba całe życie.

W ostrej walce o dostęp do źródeł surowców i rynków zbytu zachodniemieckie monopole eksportują kapitał, używając go jako broni zarówno przeciwko swoim partnerom ze Wspólnego Rynku i NATO, jak i przeciwko krajom rozwijającym się. Warto przy tej okazji dodać, iż w 1977 roku eksport RFN wyniósł 118 miliardów dolarów (pozostając w tyle za USA zaledwie o jeden miliard dolarów), przy czym w znacznym stopniu ów wzrost odbył się kosztem zwiększenia zachodniemieckiego eksportu do USA.

Mimo spadku koniunktury zachodniemieckiej przedsiębiorcy kontynuują tę ofensywę kapitału. Walcząc o światowe rynki zbytu rzucają do boju elektrownie, produkcję ciężkich maszyn, rurociągi naftowe, samochody, chemikalia, najnowocześniejszą elektrotechnikę. Firmy i osoby prywatne RFN ulokowały zagranicą kapitał rzędu 150 miliardów marek. Ten pieniężny strumień wypływający za granicę Zachodnich Niemiec nie słabnie. Miliardy marek zainwestowano w latyfundia w Ameryce Północnej i Brazylii na parcelach ziemskich i nieruchomościach na słonecznych wybrzeżach morskich Włoch i Hiszpanii, w szwajcarskie wille, w austriackie majątki ziemskie i luksusowe pałacyki na Łazurowym Wybrzeżu. Jeszcze ściągają te wszystkie, w pokojowy sposób rozwijające się, do ich powierzchni wynosiłoby ponad 114 tys. km kwadratowych!

Obecnie, jak informuje „Stern”, zachodniemieccy inwestorzy najwięcej ziemi nabywają w USA. 15 — 20 lat temu, kiedy dolar kosztował jeszcze 4 marki RFN, Amerykanie, nie pytając o ceny, wykupywali w Republice Federalnej całymi działkami firmy i ziemskie parcelę. I oto, już od kilku lat ofensywa kapitału odbywa się w odwrotnym kierunku. Obecnie zachodniemieccy bossowie, korzystając z nabywania niskiego kursu dolara, wykupują za bezcen przemysłowe imperium USA... Przemysłowiec z Düsseldorfu, F. Filck, nabył na przykład za 290 milionów marek grubą pakiet akcji amerykańskiej kompanii chemicznej „U. R. Grays”. Właściciel koncernu produkującego środki piorące, K. Henkel, kupił niedawno za 175 milionów marek firmę amerykańską „General Mills” z trzema fabrykami w Minneapolis i osmioma filiami za granicą. Towarzystwo akcyjne „Daimler-Benz” nabyło amerykańską kompanię z fabrykami w Ohio i na czterech kontynentach, tak samo „Bayer A. G.” i inne. Spośród firm, które znacznie rozszerzyły swój stan posiadania w USA są: „Volkswagen”, „Febs”, „Bosch”, „BASF”, „Haniel”, „Mannesmann” i „Siemens”. Bonn nie ma nie przeciwko temu.

Dla wielu bogaczy z Republiki Federalnej ta przemysłowa inwazja Stanów Zjednoczonych ma także podłoże psychologiczne. Nowojorski dziennik „Time” sprzecywał to w następujący sposób: „Podjęto fundamentalną decyzję o wywozie kapitału. Zachodniemieccy posiadacze kapitałów obawiają się, iż tendencji do socjalizmu nie da się zahamować i dlatego chcą skojarzyć ten wniosek

ze swoją księżeczką czekową”. Od tego „niebezpieczeństwa”, które uważają za zupełnie realne, uciekają więc setki tysięcy wielkich i małych kapitalistów, lokując swoje finanse w amerykańskich przedsiębiorstwach, poczynając od budynków administracyjnych a kończąc na fermach brzoskwińowych, stadach bydła i domach gry. W Houston, w stanie Teksas, firma z Düsseldorfu „Friedrich Flick K. G.” zainwestowała około 100 milionów marek w drapacz chmur „Intex Building”, a Bank Niemiecki kupił w tymże mieście gigantyczny budynek administracyjny „Pennical Place”. Dziesiątki tysięcy Amerykanów odnajdują dziś mieszkania od zachodniemieckich inwestorów, np. wytworne aparta-

aktualnie nabytki Burdy w USA. Wnukowie Flicka, właściciela jednego z koncernów zbrojeniowych, które ułatwiły Hitlerowi dojście do władzy, Friedrich i Rudolf, także ulokowali część swego miliardowego spadku w amerykańskich fermach.

Amerykańskie i reakcyjne elementy lokują swoje kapitały nie w Stanach Zjednoczonych, lecz w Ameryce Łacińskiej, np. w Paragwaju, gdzie po starciu z rządu gen. Alfredo Stresner, odwiedzaną przez mnóstwo krewnych z Bawarii. Generali osobiście wita ustosunkowanych zachodniemieckich poszukiwaczy nowych posiadłości ziemskich, nim zaczęli rozjeżdżać na jeepach po miastach, czując się w Paragwaju, jak u siebie w domu. Obywatele RFN

PRZEMYSŁOWCY RFN LOKUJĄ KAPITAŁY W USA

menty na Placu Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku czy w Sunday Springs pod Atlantą, niedaleko od fermy prezydenta Cartera. Handlowiec z Kolonii, Walter Grebner, dyrektor firmy „Consulta” występuje tam w roli maklera sprzedając mieszkańca. Kosztują one od 36 do 38 tysięcy marek i przynoszą 8 procent dochodu nie podlegającego podatkom.

Wielu Amerykanów robi zakupy w domach towarowych nie wiedząc nawet, iż należą one do Niemców z Hanoweru, Zammelburga, czy Hintertupfingen... Niemal każdego miesiąca specjalista z zakresu operacji finansowych, niejaki Nils Richter z Freiburga, przelewa przez szwajcarską firmę „Alfade SA” w Lugano 11 milionów marek do Teksasu, do stanu najbardziej zasobnego w bogactwa naturalne i o stałe rosnącej liczbie ludności.

Amerykańska ustawa podatkowa przewiduje, iż wydatki na budownictwo ośrodków handlowych zwracają się bardzo szybko. Dzięki temu pewien przedsiębiorca z RFN, zabezpieczony sobie za 970 tys. marek długoterminowy udział w teksaskim centrum handlowym, otrzymał w ub. roku blisko 100 tys. marek czystego dochodu, nie podlegającego opodatkowaniu.

„Stern” informuje, iż wielu prywatnych inwestorów omija w tych operacjach nawet zachodniemieckie władze podatkowe.

Robienie interesów w Ameryce, na obu kontynentach, stało się bardzo modne. Zabrał się do nich nawet były członek rady miejskiej Hamburga z ramienia CSU, Hans Joachim Pral, przyjaciel Straussa. Ostatnio grupa arystokratów z otoczenia księcia Rattibora kupiła za 8 i pół miliona marek pięć ferm w stanie Iowa. Znany zachodniemiecki wydawca, Franz Burda z Offenburga, który zainwestował w przeróżne przedsiębiorstwa w USA około 30 milionów marek, w tym 20 milionów w drukarnię w Linchbourgu, niedaleko Waszyngtonu, został niedawno właścicielem wielkiej fermy drobiarsko-jałczarskiej na Środkowym Zachodzie USA. A jeśli zechce ktoś zjeść na śniadanie np. kawalek kiełbasy czy szwarcwaldzkiej szynki, może jej zamówić na fermie „German Batcher” w Saint Joseph, w stanie Missouri, ostatnim

disponują w kraju najstarszej dyktatury w Południowej Ameryce ziemią orną i pastwiskami o ogólnej powierzchni 4 tys. km kw.

Za nieklamana „arystokracja” na Gran Chaco (Wielki Obszar Łowów między Paragwajem a Parana — red.) uważają siebie: właściciel koncernu Heinrich Thyssen-Bornemista, o przezwisku „baron Heini”, przewodniczący rady nadzorczej firmy „AEG Telefunken” — Hans Grebe, b. przewodniczący firmy „Fichtel und Sacks” — Helmuth Spitz i spekulanta parcellami ziemskimi — Carola Friens, siostrzenica kardynała w Kolonii Josepha Fringsa. Ci nowo kreowani obszerni są szczególnie zadowoleni z tego, że dyktator nie cierpi w swoim kraju komunistów, nie utrzymuje stosunków dyplomatycznych z państwami sojuszu wschodniego i buduje politykę ekonomiczną kraju na podziałach własności prywatnej i zgarniania maksymalnych zysków.

Od początku lat 70-tych bogactwo z RFN wykupują całe wyspy w egzotycznych rejonach kuli ziemskiej, a zachodniemiecka arystokracja i właściele wielkich koncernów posiadają już tysiące kilometrów kwadratowych ziemi także w Kanadzie, i tak dalej, i tak dalej...

Większość przedsiębiorców, którzy „robią wielki biznes” na niskiej płacy robotniczej, wolać Azję i Afrykę, a nawet niespokojną Północną Irlandię, gdzie robotnicy są bardziej „podatni” niż w Republice Irlandzkiej. Wielu fabrykantów zbija majątki na taniej sile robotniczej w Brazylii, Hiszpanii, Portugalii, w krajach Bliskiego Wschodu, w Afryce, w Azji...

50 tys. zamoznych obywateli Republiki Federalnej otrzymało — w konsekwencji wykonanych inwestycji — zezwolenia na długoterminowy pobyt w Szwajcarii. Mimo licznych kampanii protestacyjnych przeciwko „zalewowi obco krajowców”, finansowa elita RFN znajduje drogę przenikania do Konfederacji Szwajcarskiej. Szwajcaria i sąsiadujący z nią Liechtenstein nadal pozostają najważniejszym punktem przetrzutowym kapitałów w Europie, gdzie najłatwiej zaozczędzić na podatkach.

Oprac. JERZY CZECH

PRÓBNE ALARMY W BIAŁYM DOMU

W USA, wpływowi przeciwnicy odprezenta, ściśle powiązani z kompleksem wojskowo-przemysłowym, nie przestają rodmuchiwać historii wojennej, w czym uczestniczą nawet wysoko postawione osobistości Białego Domu.

Oto pewnego mroźnego i wietrznego wieczoru, w styczniu tego roku, dwie osoby — kobieta i mężczyzna stali na małym dziedzińcu Białego Domu. Nagle, na ciemnym niebie pojawił się śmigłowiec pechoty morskiej, z trudem walcząc z porывami gwałtownej wichury, i zawisł na moment nad siedzibą rządu. Strażnicy z tajnej służby Białego Domu struchleli z przerażenia, zaskoczeni tym nieoczekiwanym lotem samolotu. Nim zdążyli jednak podjąć jakiegokolwiek działanie, mężczyzna i kobieta szybko przeszli dziedzińiec i waledli do oczekującego na nich samochodu. Ten ruszył z miejsca jak rakietka i wiałki w ciemność...

Dwojgiem aktorów w tej tajemniczej scenie byli — Zbigniew Brzezinski, doradca prezydenta Cartera do spraw bezpieczeństwa narodowego i jego osobista sekretarka. Ich „operacja”, która wzbudziła energiczny protest zwulterozowanej tajnej służby, była pierwszym aktem całego szeregu nagłych alarmów, które przeprowadzili w ubiegłym roku Carter i Brzezinski, sprawdzając w ten sposób stopień gotowości do natychmiastowej ewakuacji Białego Domu w razie ataku jądrowego.

W opisanym wydarzeniu Brzezinski i jego sekretarka odgrywały rolę prezydenta i jego żony. W innych podobnych alarmach w charakterze wykonawców tej roli występowali — Carter młodszy, kuzyn prezydenta i administrator siedziby rządu.

Zeby uczuli służby ewakuacyjne na nieoczekiwane alarmy, prezydent, w okresie pierwszego roku sprawowania władzy, osobiście zlustrował kilka punktów dowodzenia w całym kraju. Lata na pokładzie Narodowego Powietrznego Punktu Dowodzenia (specjalnie wyposażony samolot Boeing 747 — red.), odbył 9-godzinny rejs w wybrzeży Florydy na pokładzie łodzi podwodnej o napędzie atomowym, wylądował w widok strategicznych sił zbrojnych w bazie Offate w stanie Nebraska, inspekcjonował niektóre podziemne ośrodki kierowania w górach stanów: Marylandu i Wirginii. Niedawno, bo w lutym br., prezydent skontrolował centrum Narodowego Dowództwa Wojskowego w Pentagonie, gdzie uczestniczył w grach wojennych i liczył się bezpośrednio z dowódcami armii i ośrodkami lotnictwa oraz marynarki wojennej USA.

Opowiadając o tych alarmach reporterowi gazety „New York Times”, urzędnicy Białego Domu zaraz zapamiętniają, iż powodem alarmów nie jest bynajmniej wzrost zagrożenia ataku jądrowego, lecz że jest to konieczne w celu kontrolowania zarządów dawno już wydanych, ale o których nie wie ogół amerykańskiego społeczeństwa.

Urzędnicy z Pentagonu mówią, iż nie przypominają sobie, żeby którykolwiek z ostatnich prezydentów Stanów Zjednoczonych poważnie traktował kontrolę wykonywania tych zarządzeń, chociaż prezydent Kennedy także okazywał im pewne zainteresowanie w pierwszych miesiącach sprawowania władzy. Jedyną całkowitą ewakuacją Białego Domu przeprowadzono próbną w 1955 roku. W okresie dotychczasowej władzy prezydenckiej Cartera podobnych ewakuacji przeprowadzono już kilka.

ZANIECHAĆ WZROSTU ZBROJEŃ REALNE NIEBEZPIECZEŃSTWO

Pokojujowe współistnienie i odprezenta jest podstawowym celem radzieckiej polityki zagranicznej. Te oczywiste prawdy potwierdził i udowodnił nowymi inicjatywami rozbrojeniami Leonid Breżniew na XVIII Zjeździe Komsołomu. „Pokój, nielingerencja w sprawy wewnętrzne, poszanowanie niepodległości i integralności terytorialnej, równouprawnienie, wzajemnie korzystna współpraca — wszystko to są niezbędne i najważniejsze elementy odprezenta i trwałego pokoju” — powiedział radziecki przywódca i dodał, że przy pomocy oszczerczych wymysłów i gróźb — co czynią ostatnio określone kółka — nie można zmusić ZSRR do odstępstwa od takiej polityki.

(Te ostatnią uwagę L. Breżniew poczynił w związku z powtarzającymi się w propagandzie imperialistycznej oskarżeniami pod adresem Związku Radzieckiego i innych krajów socjalistycznych o rzekome ingerowanie przez nie w sprawy młodych państw, które niedawno wyzwały się spod ucisku kolonialnego).

W przemówieniu sekretarza generalnego KC KPZR zawarta została propozycja zaniechania ilościowego i jakościowego zwiększania zbrojeń i sił zbrojnych, co stworzyłoby korzystne warunki do ich późniejszej redukcji. L. Breżniew zwrócił się z wezwaniem, aby przedyskutować pro-

gram posunięć, na które złożyłoby się:

zaniechanie produkcji wszystkich rodzajów broni jądrowej, zaniechanie produkcji i zakaz użycia wszystkich innych rodzajów broni masowego zniszczenia, zaniechanie tworzenia nowych rodzajów broni konwencjonalnej o wielkiej sile niszczenia oraz rezygnacja z powiększania armii i zbrojeń konwencjonalnych państw, będących stałymi członkami Rady Bezpieczeństwa, a także krajów, związanych z nimi układami wojskowymi.

Podkreślając, że uzgodnienie takich posunięć nie jest łatwe sekretarz generalny KC KPZR zaproponował, aby realizację pakietu rozpocząć od jakiegos jednego ograniczenia.

Nowa radziecka inicjatywa raz jeszcze wykazuje, jaką wagę przywiązuje ZSRR do podjęcia konkretnych kroków rozbrojenia.

Dalszą część komentarza poświęcamy znowu Włochom.

Można spotkać się ze zdaniem, że niezależnie od finału porwania Aldo Moro następstwa tego aktu w życiu politycznym Włoch będą głębokie.

Jest w tym wiele racji. „Czerwone Brygady” uderzyły w chwili, gdy po długim kryzysie rządowym wzrosły nadzieje na względne ustabilizowanie sytuacji i podjęcie kroków przeciw nekajacym krajowi Włoch. Negatywnym zjawiskiem, Mniejszościowy rząd Andreottiego mógł przeciw powstać tylko dlatego, że nastąpiło polityczne przegrupowanie w parlamencie i powstała jawna większość demokratyczna pięciu partii, które zawarły między sobą porozumienie. Nie zadowolono ono nikogo w pełni, ale okazało się, że tylko na takiej, minimalistycznej w pewnym sensie, płaszczyźnie może być osiągnięty kompromis.

Oficjalne wsparcie gabinetu chadecckiego m. in. przez partię komunistyczną mogło stać się zapowiedzią w przyszłości kolejnego kroku — wejścia komunistów do rządu. Komu więc mogło zależeć przede wszystkim w przedskazaniu dopiero co zmontowanej większości parlamentarnej?

Polityczny rodowod „Czerwonych Brygad” zawiera nieco znaków zapytania, a program nigdy nie został sformułowany. Wywodzą się one częściowo z różnych grup maoistycznych i anarchistycznych, ale nie to przesądza o ich składowej osobowości i motywie terrorystycznego działania. Jeśli na wydarzenia we Włoszech spojrzeć chłodno i refleksyjnie — najbardziej zakłóceniem ładu i podważeniem instytucji państwa, może być zainteresowana skrajna prawica, mająca międzynarodowe powiązania. Przez wywołanie chaosu, niepewności, zmierzchnienia, niewiary w porządek,

a także strachu może ona dążyć do zwrotu w prawo i rządów „silnej ręki”, kiedy to nie będzie miejsca na demokratyczne instytucje. I w tym właśnie kontekście tym bardziej niejasna staje się rola „Czerwonych Brygad”.

Włochy są więc w trudnej sytuacji i zawisło nad nimi realne niebezpieczeństwo. Oczywiście, są drogi wyjścia z obecnego stanu, ale te wymagają konsekwentnego działania sił demokratycznych.

A teraz nieco o aktualnościach. W chwili, gdy pisze komentarz Jos Aldo Moro wciąż nie jest znany. Jak wiadomo, rząd włoski odrzucił żądanie „Czerwonych Brygad” uwolnienia 13 ich członków, sądzonych w Turynie, bądź przebywających w więzieniach włoskich. Na rzecz uwolnienia porwanego przywódcy włoskiej chadecji interweniował znów papież Paweł VI oraz sekretarz generalny ONZ — Kurt Waldheim. Wystąpienie tego ostatniego wywołało poruszenie we włoskich kołach politycznych, gdyż odczytane zostało przez nie, jako akceptacja w pewnej mierze dialogu z terrorystami, a nawet — forma pewnego „międzynarodowego uznania”.

Na stanowisku możliwości bezpośredniej interwencji rządu w celu ratowania życia polityka stanęli włoscy socjaliści. Jest to pierwszy wyłom w pięciu partiach, wspierających gabinet Andreottiego.

W. SŁAWSKI

DÜRRENMATT W INTERPRETACJI DEJMKA

Jest rzeczą wiele zastanawiającą, że dramaturgia dwudziestowieczna tak często za przedmiot swojej penetracji obrała tematykę związaną z problemami władzy i rządzenia. Mogłoby to świadczyć o jakims szczególnym upolitycznieniu pisarzy teatralnych. Na pewno jest to świadczeniem, że w tematyce tej znajdują oni szczególne wartości dramatyczne. Od czasów Szekspira dramaturgia europejska dość rzadko zajmowała się tymi sprawami. W wieku dwudziestym pisarze wracają do tych problemów, czyniąc to jednak w sposób nieco odmienny. U Szekspira rządzący byli właściwie postaciami tragicznymi, a groteskowość ich poczyną ujawniały postacie białeńsze. W dramaturgii współczesnej bliższymi są bohaterowie bezpośrednio zaangażowani w grę polityczną. Dlatego chyba dramaty tego rodzaju przestały dzisiaj być tragedią i przybrały formę grotesku. Warto zauważyć, że ojciec współczesnej groteski dramatycznej, Alfred Jarry, podjął też właśnie tematykę w swoim „Królu Ubu”. Na gruncie polskim w formie groteski dramatycznej podejmowali problemy władzy tacy dramaturdzy, jak na przykład Witkacy, Pawlikowska-Jasnorzewska, Gombrowicz, Mrożek.

Tragiczność ujawniać się może wówczas, gdy rzecz związana jest z problemami etyki. Kiedy działalność polityczną rozpatrywano w kategoriach moralnych, władca mógł stać się bohaterem tragicznym. Kiedy najnowsza historia dała zbyt wiele dowodów na to, że polityka z etyką mają mało lub nawet nie mają nic wspólnego, tragedia o władzy stała się niemożliwością. Każda

Gra istnieje bowiem poza rzeczywistością. A jednocześnie Dürrenmatt stara się przekazać wizję świata współczesnego, w którym polityka jako gra i jako system manipulacyjny doprowadzona została do absurdu perfekcji. Jak jest możliwe mówienie o rzeczywistości, skoro się stwierdza jej nieautentyczność. Oddajmy głos dramaturgowi: „To, co scena i rzeczywistość mają istotnie wspólne i dlatego pierwsza usiłuje wprowadzić drugą na swoje deski, to niereczywistość ich obu. Coraz rozpaczliwiej stara się scena dotrzeć do rzeczywistości. Cokolwiek jednak scena wynajdzie w zakresie niereczywistości, rzeczywistość zawsze ją przewyższy”. Kiedy akcja sceniczna i wypowiedź bohaterów wyrażają powyzszą diagnozę, na widowni Teatru Nowego rozlegają się śmiech i oklaski aprobujące trafność ujęcia przedstawionych

spraw. A ponieważ rzecz dotyczy problemów sprawowania władzy, celność stormulowań i działań postaci jest tym większa. Akcja sztuki jest przedstawieniem rozgrywki o władzę w jakimś bliżej nieokreślonym państwie, rozgrywki, która toczy się w momencie śmierci Dyktatora między Partią i Monarchią. Przywódcy tych ugrupowań Kajęzna de Valdopolo — B. Horawińska, Kajęzna de Saltovenio — I. Pięnkowska nie liczą się jednak z grze, są pionkami manipulowanymi przez figury wyższe, dla których ważniejsza jest sama rozgrywka niż jej sens: przez premiera, szefa policji i przywódcę opozycji, który — choć jedyny w sztuce reprezentuje racje ideologiczne i etyczne — staje się ofiarą rozgrywki, jaka doprowadzając go do władzy, jednocześnie wciąga go w reguły nieautentycznej gry, przeciw

której do tego czasu mogli protestować w imię racji moralnych. Społeczeństwo, w rozgrywce tej przestaje się liczyć i w końcu nie wiadomo, czy to tym gorzej dla niego, czy gorzej dla tych, którzy społeczność uczynili swojej grą przedmiotem. W dramacie Dürrenmatta Chłop Toto (Ludwik Benoit), reprezentujący jakąś tam społeczność, w imię której toczy się walka, dokonuje sądu nad mistrzem rozgrywki politycznej, jakim jest premier-Eksceleńcja (grany w Teatrze Nowym przez Mieczysława Voit). W spektaklu Kazimierza Dejmka Toto jest tylko widmem, którego zemsta ma walor jedynie symboliczny w sytuacji w jakiej ci, którzy o rozwoju wypadków decydowali, osiągnęli cel maksymalny z punktu widzenia prowadzonej gry politycznej, acz mało doniosły jeśli chodzi o ewolucję społeczną. Uniknięcie wojny domowej jest bowiem odwiekaniem historycznej konieczności. Dylemat ten panowie Dürrenmatt i Dejmek próbują rozwiązać, wprowadzając postacie reprezentujące niszczenia kobiecę, tryumfującą nad światem mężczyzn, którym się zdaje, że działaniami swolimi tworzą historię. Sceny z Niemierelnymi należą w spektaklu do najbardziej efektownych pod względem teatralnym, chociaż ich głębia myślowa jest nieco problematyczna. Ale to rzecz wina autora dramatu, niż twórców przedstawienia.

Powróćmy jednak do właściwego tematu sztuki, którym jest walka o władzę toczona w niereczywistym świecie polityków. Najlepszym graczem w tym świecie jest ten, który w pełni zdaje sobie sprawę z fikcyjności swoich poczyną (Eksceleńcja, którego znakomitą kreację stworzył Mieczysław Voit). To z jego ust padają słowa, stanowiące klucz do interpretacji dzieła Dürrenmatta:

„Podobnie jak fizyk potrzebuje matematyki, żeby przynajmniej jakoś uchwycić naturę nieuchwytną do ostaka, tak i polityk potrzebuje władzy, żeby kierować balansem działań i ludzi. Nawet jeśli wie, że jego władza jest także — tylko fikcja. Bo w rzeczywistości jest on bezsilny, zależny od takich, którzy go pechają do władzy, zależny od tych, którzy mu sa do władzy potrzebni, i od tych, którzy się jego władzy poddają, ponieważ nie dostrzegają jej fikcji”. Interpretacja dramatu przez Kazimierza Dejmka wyakcento-



Na zdjęciu od lewej: Bogdan Baer (Goldbaum), Mieczysław Voit (Eksceleńcja), Seweryn Butrym (Nastromanni). Foto: J. Neugebauer

O SZEKSPIRZE I RUCHU FEMINISTYCZNYM

Gdyby ktokolwiek podjął ryzyko dokonania najbardziej ogólnej i najkrótszej charakterystyki ostatniej sztuki Dürrenmatta, uwzględnić musiałby nie tylko jakość, ale i wielość problemów, jakie utwor ten zawiera. Każdy z nich stanowi może osobny pretekst do podjęcia obszernych rozważań w całości dają obraz współczesności świata przedstawionego w trzech co najmniej aspektach: politycznym, społecznym i moralno-etycznym, ukazując jednocześnie mechanizmy zależności między — zdawałoby się tak różnymi — sferami naszego życia. Jest rzeczą naturalną, że ważność tych problemów przedstawiła się różnie i zależy od subiektywnego nastawienia odbiorcy. Alboż jest także sposób komunikowania poszczególnych zagadnień, polegający na wprowadzeniu do „możliwej dawnej sali tronowej” możliwego dawnego pałacu królewskiego w możliwej sali „możliwego kraju” w czasie określonym „jako „współczesność jedna z możliwych” nie tylko osób realnych „możliwych”, ale i takich, który egzystowanie w tych warunkach może się — mówiąc najprościej — z naszym poczuciem rzeczywistości jest „niemożliwe”. Mam tu na uwadze sceny z Chłopem Toto oraz z grupą Niemierelnych i im właśnie chciałbym poświęcić w podrzędnej wypowiedzi chwilę uwagi.

Brak akceptacji dla mężczyzn i świata jaki stworzył ma podłoża moralne i biologiczne. Moralne, bo świat ten zawsze wypełniony był okrucieństwem, hańbą i wojną biologiczną, bo z wypowiedzi Rosagrande wyraźnie przebiega fizyczny wstręt do osobników płci męskiej. „Byliśmy jego ofiarami i jego żądzy — powiada najstarsza z Niemierelnych — robili z nami wszystko, co zechciał, wszak byliśmy tylko zwierzęta”. Roztacza więc Rosagrande w słowach pełnych nawiązań, a jednocześnie niekrytego zadowolenia, symboliczny obraz żądzy tego świata: pochłania go „paszcza niekiedy”, a nie pustym, bezpozawionym Boga niebieskim krzyżem. Jedynym o tym Niemierelne marzyły od dawna: chcą kuli ziemskiej „wolnej od spermy i od błot”, chcą panowania kobiecości, której przewodnim celem będzie wieczność i bezpłodność. Już samo zestawienie tych pojęć budzi same podejrzenia. Wieczność, ciągłość, kontynuacja łączą się nierozdzielnie — i sprawę tę traktowały

podobnie nawet dalekie sobie kręgi kulturowe — z możliwością zblędzenia i podważenia. Tymczasem Niemierelne chcą uniknąć tej hańby, która była jeszcze jedną formą zależności, od mężczyzny. Pragną wieczności z jednoczesnym zachowaniem bezpłodności, przez kreując tym samym sens ciągłości gatunkowej, a celem swych działań podświadomie adres wszelkie poglądy. Ich poziom umysłowy, daleki przecież od intelektualnych wyzwań, jak również instrumentalne traktowanie mężczyzny daje o tym świadectwo. Organizacje feministyczne działające z uporem i niecierpliwością w sprawie zarówno na starym kontynencie jak i w Ameryce, to — wydaje się — trafiły pod uwagę Dürrenmatta. Wskazanie na program lansowanego przez niego feministycznego manifestu, który pod nazwą „Kobiety zwalczające przemoc wobec kobiet” — mit mężczyzny, który znacząc się nad kobietą udowadnia swa meskość. Czyż to nie to samo, o czym pisał Rosagrande?

NIEOBECNOŚĆ KARDYNAŁA

Najsamprzód należałoby ustalić czas i miejsce akcji. A więc rzecz dzieje się współcześnie, czy niemal współcześnie, w latach, w których zaczęli wyłaniać się dyktatorzy, w których naukowo się już manipulował najsłynniejszym z środków masowego przekazu — telewizją, opano- wano techniki przeszczepu serca i niemalże do patriotycznego obojęt- nym podniesiono procedurę zasila- nia zolowych i tlenia kraju. Właściwie sławny międzynarodowy, czyli dokonywania tak zwanych transferów za sumy nie mieszczące się w głowie. Miejsce akcji gdzieś nie zostaje sprecyzowane, Dürrenmatt pozostawia jednak liczne tropy, które mogą wiesć w jednym tylko kierunku. Niemierelne — podpowiada autor — ubrane są JAK DAMY RODZINY KAROLA IV NA OB- RADZIE GOYT”, generalissimus ra- dział już lat czterdzieści, zaś stołce zdobywał z bronią w ręku. W tym nie nazwanym z imienia kraju znajdują schronienie hitlerowscy zbrodniarze wojenni, istnieje fa- szystowska partia na czele której stoi córka dyktatora, po śmierci generalissimusa ma być restaurowana monarchia, a następnym tronu została już dawno wyzna- czona. Kraj jest katolicki, w pew- nej opozycji do władzy znajduje się episkopat reprezentowany przez Kardynała, choć istnieje też niezbyt zorganizowana opozycja bardziej liberalna, z dwukrotnym laureatem nagrody Nobla, byłym więźniem koncentracyjnego obozu, doktorem Goldbaumem na czele. Tak, ten rachunek się zgadza, do Hiszpania, czy raczej kraj o podobnym układzie sił politycz- nych co Hiszpania generała Fran- co, który też zdążył rozdać kary, zanim po jego śmierci przetasowa- no je na nowo. Możemy, choć to właściwie żytoczne, dorzucić je- szcze jeden szczegół: w tym kraju działała terroryści, bądź też — jak powie Eksceleńcja już po wy- konaniu wyroku — „bohaterowie wolności”, w których nie trudno dopatrzeć się bojowników baskijskich.

Oczywiście Dürrenmatt unika dosłowności, pilnie czyta gazety i wie dobrze, że współczesna histo- ria Hiszpanii potoczyła się innym- nego torem, ustawiła jednak dość dogłębnie, aby pilny wid mógł znaleźć właściwy punkt od- niesienia. Motywy sztuki, jak po- wie autor w przedmowie, istotnie pochodzą z niereczywistości, w której rozpięta się rzeczywistość.

W realnym świecie, jak wiemy doskonale, nie bywa aż tak do- brze, z prawicy i lewej nie ustępu- je bez walki; zresztą nawet czyta- łab sztukę wzbudzała w sobie, że Goldbaum idzie właściwie w- strzałem, albo bardzo szybko usta- pi z urzędu premiera pod naci- skiem tych wszystkich sił, które — nazwane i nie nazwane z imie- nia — ustawicznie czają się poza sceną.

A może się mylę...? A może „Zwłoka” jest po prostu groźna bałka z hanym endem, którego — jak wszystkich hanpów endów — nie wolno brać na serio? Jeśli tak, niechby skreślił postać Kardynała będzie Dejmkiemu od- puszczone, choć i w swoim re- gularnym sumieniu czuje tego niestety nie może.

ANDRZEJ S. WARZECHA

Na tak ukształtowanej politycz-

JERZY PANASEWICZ

zdarzenia i zwierzenia

Jak każdej wiosny zjechał do Łodzi cyrk. Ale dziś już cyrk nie budzi tych emocji w całym mieście, co niegdyś. Dziś kina, kabarety, teatry, telewizja są bliżej, nie gdzieś na przedmieściu — na ulicy Brukowej, ale nieomal pod ręką, na sąsiedniej ulicy, albo w sąsiednim pokoju...

A jednak staruszek cyrk pozostał dalej fascynującym widowiskiem. Może dlatego, że to nie ma lipy, że prawdziwe są słońce krążące wokół tresera, że prawdziwy jest piasek akrobata, na który może spaść akrobata (mimo zabezpieczających linki), że prawdziwa jest wysokość trapezu...

Ponad trzytygodniowa widowiska „Cyrku Wielkiego” przez wiele dni była co wieczór wypełniona do ostatniego miejsca i ludzie wędrowali przez miasto na dalekie przedmieście, aby zobaczyć widowisko, które jest niepowtarzalne, nie konstruowane przy pomocy montażu elektronicznego, nie rejestrowane na taśmie telerecordingu, ale żywe.

CYRKOWE EMOCJE

Sto osiemnaście lat temu, (już samo to świadczy jak głęboka jest historia cyrku w Łodzi!), pan Wincenty Sposi dawał pierwsze widowisko w starej szopie przy ulicy Konstytucyjnej 4, a więc gdzieś w okolicach dzisiejszego baru „Kęs”.

Wacław Pawlak w swojej książce „W cieniu ratuszowej wieży” pisze: „Łódź, leżąca na ruchliwym trakcie łączącym Niemcy z Rosją, była dość często odwiedzana przez cudzoziemskie zespoły cyrkowe. W przejeździe przez miasto zatrzymywały się one tutaj na kilka tygodni, kładły prowizoryczne budy cyrkowe, a po jakimś czasie wędrowały dalej”.

Najczęściej cyrki lokowały się na Targowym Rynku, czyli na dzisiejszym Placu Dąbrowskiego. Można rzec, że zastępowały one atrakcje dzisiejszego Teatru Wielkiego. Bywało zresztą i tak, że zespoły cyrkowe anektowały na swoje potrzeby także sale teatralne. Tak było ze słynnym cyrkiem Salamonskiego, który w roku 1886 wystąpił na scenie teatru „Thalia” przy ulicy Narutowicza. Bywały też w Łodzi najgłośniejsze cyrki swoich czasów — Stanisławski, Cinisello, brać Truzzi...

Dziś mówimy inaczej, nie przywołujemy nazwisk wielkich artystów cyrkowych. Czyżby ich nie było? Ależ są — legendarny Din-Don czyli Edward Mane, dziś już na emeryturze występuje czasem w programach „Cyrku Wielkiego”.

Poszedłem więc do „Cyrku Wielkiego” w nadziei, że zobaczę Din-Dona, którego widziałem w Łodzi w końcu lat czterdziestych, a potem czytałem jego pasjonującą książkę. Poznałem go, ale tylko prywatnie — Din-Don będzie występował gościnnie w „Cyrku Wielkim” dopiero w Bydgoszczy, wspólnie z Antonim Ostrowskim.

Pan Edward Mane powiedział mi, że niedługo Telewizja emitować będzie jego wspomnienia, i że niebawem ukaże się drugie wydanie jego pamiętnika.

Albo wróćmy na arenę „Cyrku Wielkiego”, którego dyrektorem Wiktor Gryśkiński, a zarazem reżyser widowiska, miałem tu okazję zobaczyć debiut młodego artysty z Julinka, który w akrobacji na linie pokazał naprawdę wysoki kunszt. W ogóle program był niezwykle urozmaicony — konie, i słonie, foki, psy, orły, kozy, niedźwiedzie...

Lecz przede wszystkim ludzie. Artysty cyrkowi ze Związku Radzieckiego, NRD, Rumunii, znakomity zespół polskich komików — Alfred Matecki, Klemens Wrzodek, Antoni Ostrowski, Lech Grabski duety Lewandowskich, Leśniewiczów, Chęcińskich, Mateklich... W cyrku jak dawniej króluje cała rodzina — trwają stare generacje artystów, powstają nowe.

Zafascynowanie cyrkiem trwa w Polsce od stuleci. Do łódzkiej historii cyrków wpisemy i ten fakt, że pierwszy po wojnie cyrk państwowy powstał właśnie w Łodzi, w roku 1945. I trwa ta fascynacja do dziś, i trwać będzie. Bo sztuka cyrkowa się nie starzeje. Jak długo ludziom imponować będzie odwaga i siła mięśni akrobatów, zręczność i precyzja żonglerów, piękne ruchy tancerzy i gimnastyków, tak długo sztuka cyrkowa będzie najpopularniejszym rodzajem rozrywki.

Powiedzmy zresztą — rodzajem sztuki. Bowiem jest to sztuka, w której wszystko musi być prawdą, choć wszystko wydaje się złudzeniem.

WIDOK

lewym okiem

Nikt nigdy nie sprecyzował, gdzie się zaczyna i gdzie kończy zakres pojęcia „mieszczaństwa” lub, co gorsza, „drobnomieszczaństwa”. Utarło się pejoratywne rozumienie tego pojęcia, jako bardzo ujemnej, dyskryminującej cechy zjawisk psychicznych i społecznych. Utarło się — drogą daleko idących skrótów, myślowych — że wszystko co postępuje to antymieszczańskie, a wszystko co mieszczańskie — to wróg postępu. A już co właściwie jest mieszczańskie, a co nie jest — można było sobie fantazjować do woli, przy czym niejednemu od takiego fantazjowania przydarzyło się to i owo.

Najgorsza mieszczańska cecha miała być przywiązanie człowieka do rzeczy. Trudno dziś stwierdzić, czy przed powstaniem miast ludzie nie przywiązywali wagi do posiadanych przedmiotów. Wydaje się, że w epoce gospodarki naturalnej to przywiązanie było o wiele silniejsze niż wśród miejskich rzemieślników i kupców, którzy dysponowali u-

O PRZYWIĄZANIU DO RZECZY

możną wartością — pieniędzmi, i mogli zawsze swe rzeczy odwarzać i wymieniać; chętniej strugał swoje narzędzia sam i budował chałupę sam, wiedział jaki to trud, ile to kosztuje czasu i potu. Utrata każdej rzeczy była dla niego zaczynaniem od nowa, była upadkiem, cofnięciem na gorszą pozycję w walce o byt. Może więc niezupełnie słusznie akurat mieszczaństwo jako grupę społeczną obciążaliśmy grzechem bałwochwaltwa dla rzeczy. Bałwochwaltwo — to zresztą skrajny, patologiczny przejaw przywiązania, pozostałymi zatem przy przywiązaniu do rzeczy jako raczej bardzo rozpowszechnionej, ludzkiej, uniwersalnej: jest ona złem samym w sobie, czy nie jest?

Słynny i szeroko dyskutowany futurolog Toffler (którego, przynajmniej, nie czytałem, a cytuję za artykułem Anny Piotrowskiej w „Kulturze”) wypowiedział zdania, które wydają mi się godne zastanowienia: „Nasz stosunek do rzeczy — dzwierciedla głębsze wartości ludzkie. Trudno o bardziej dramatyczną różnicę niż ta, która dzieli nowe pokolenie dzie-

czynek, chętnie wymieniających swoje plastikowe lalki na ulepszony model, od ich matek i babek, które były na stałe przywiązane i kochały jedną i tę samą lalkę, dopóki nie rozleciała się po prostu ze starości. Na tej różnicy zasadza się kontrast między przeszłością a przyszłością: między społeczeństwami opartymi na trwałości a nowymi, szybko powstającym społeczeństwem opierającym się na krótkotrwałości”. To przecież wielki przemysł wniósł ludziom ze niczego nie należy używać zbyt długo, że trzeba ciągle kupować nowe, nowe, nowe, porzucać wszystko co się ma, nie mieć żadnych ulubionych ubrań, mebli, butów, samochodów, domów, krajobrazów, przynajmniej — zmieniać wszystko, podgrzać pod śmiecie jak najwięcej i wciąż zmieniać, oczywiście w mniemaniu, że zmienia się na coraz lepsze, piękniejsze itd. Nie naprawia się już niczego, nie warto. Wyruca się, a nabywa nowe. Przemysł ma co robić, a ludzie zwracali się z ludźmi i z rzeczami. Tak jest, z ludźmi też, bo to jest pochodną zajętej pozycji:

nie przywiązywać się do niczego. Myślę, że zachłanna gonitwa za posiadaniem jak największej ilości przedmiotów jest nieświadomością naszej epoki; że wyrosła ona na glebie nagle ujawnionych, potężnych sił wytwórczych, których nie umiemy w skali światowej zorganizować tak, aby służyły człowiekowi, a nie stawały się jego zbudowanym demonem; że przywiązanie do rzeczy jest alternatywą owej zachłannej gonitwy za „wiecej”, „wciąż więcej”, i to alternatywa zdolna wyzwoleć lepsze cechy natury ludzkiej. Myślę, że ideałem na najbliższe sto lat powinien być raczej człowiek stabilny, tubiący swoje otoczenie materialne — swoje meble, dom, łąkę, ogródek, swoje miasto — niż człowiek „wyzwolony” z wszelkich sentymentów i zależności, „wolny” od przywiązania i estymy, sam dla siebie bedący suwerennym, obojętnym na wszystko, wyalienowanym z jakikolwiek więzów wszechświata.

CWIEK

propozycje

W XIX wieku narodziło się przysłowie, które chętnie i dziś powtarzamy: „czego się jas nie nauczyłeś, tego Jan nie będzie uczył”. Również w XIX wieku ukuto inne powiedzenie: „jaki uczeń taki obywatel”. I ono również nie straciło swej aktualności. Nie dziwiwo więc mnie, kiedy dowiedziałem się, że Zarząd Główny Związku Zawodowego Pracowników Gospodarki Komunalnej i Terenowej — jak to napisała w „Głosie Pracy” sekretarz tego związku, Alleja Biłska — „prowadzi działalność, której celem jest wypracowanie systemu wychowania uczniów szkół zawodowych odpowiadającego potrzebom nowoczesnej gospodarki”. A działalność taka związana jest z hasłem: „DZISIAJ UCZEŃ — JUTRO PRACOWNIK”. Hasło niewątpliwie nie jest odkrywcze, ale warto je przypomnieć. Nawigacja owo do XIX wiekowej maksymy: „jaki uczeń, taki obywatel”.

ZG ZZ Pracowników Gospodarki Komunalnej i Terenowej bada również warunki adaptacji absolwentów szkół zawodowych do pracy. Do tego celu wykorzystuje się nawet socjologów i pracowników różnych służb specjalnych. Bada się proces adaptacji absolwentów szkół zawodowych do warunków: raz na początek ich zawodowej działalności, drugi raz po upływie pewnego czasu.

Wszystko to bardzo ładnie. Pożądany jest system wychowania

„JAKI UCZEŃ, TAKI OBYWATEL”

uczni szkół zawodowych, jest potrzeba badania warunków adaptacji absolwentów do pracy zawodowej. Nie mam zamiaru tego kwestionować. Byłoby to bowiem głupota. Chciałbym jednak dorzucić kilka uwag do tej nie najłatwiejszej sprawy. Na początku XVII wieku S. Wysocki słusznie zauważył, że „wiecej wstrząsa przykład niż słowne wykłady”. Myślę, że powinni sobie wziąć do serca wszyscy zajmujący się dydaktyką, dydaktyka społeczna szczególnie, gdyż zbyt wiele przywiązujemy uwagi do słów, czasem nie zdając sobie sprawy z tego, że słowa te przeczą przykładem.

Jestemni wszyscy zgodni, że cały proces wychowywania młodego pokolenia musi być podporządkowany naczelnej zasadzie poszanowania pracy, zarówno własnej jak i cudzej. Bardzo mi się na przykład podobało, kiedy dowiedziałem się, że młodzi kibice gdańskiej Lechii przyjeleci do Warszawy na mecz z Gwardią... samolotem Pozornie nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Jest XX wiek, samolot jest normalnym środkiem lokomocji, tyle że drogiem. Moga sobie młodzi pozwolić na samolot, to przyjeleci samolotem. Ale nie. Rzecz po prostu nie na czym innym.

Po pierwsze — młodzi kibice musieli rankiem tego dnia być w szkole. Szkoła — i słusznie — nie chciała ich zwolnić na wyjazd z Lechii do Warszawy. Jedynym więc wyjściem było polecenie samolotem. Tylko nie każde- go stać na podróżowanie samolotem. Wice, co zrobić? Po drugie — młodzi kibice Le-

chii... zarobili sobie na podróż samolotem. Rozosili rano mleko i zarabiali w ten sposób na bilety do Warszawy i z powrotem. I to mi się bardzo podoba. Nie prosił rodziców, nie kombinował, tylko po prostu zarobił. Jest w tym prostym przykładzie więcej niebagatelny sens wychowawczy. Ci młodzi kibice Lechii w Gdańsku uczą się tego, że mogą coś w życiu osiągnąć tylko dzięki własnej pracy a jednocześnie we wspólnym, kolektywnym działaniu. Jest to przykład godny popularyzacji, już choćby dlatego, że wielu młodych spokojnie czeka, aż im manna spadnie z nieba za przyczyną rodziców, społeczeństwa ojczysty wreszcie, uważając, że im się wszystko należy, a nie od nich.

W przykładach zawiera się wielki sens, ale nie zawsze pozytywny. Oto spotykam w „Expressie Wieczornym” dwa ogłoszenia niedaleko siebie. W jednym Zespół Szkół Zawodowych Budownictwa Komunalnego w Warszawie zachęca młodych, aby wstępowali do 2 i 3-letnich szkół zawodowych, gdzie można zdobyć między innymi kwalifikacje mechanika maszyn budowlanych, mechanika kierowcy pojazdów samochodowych. A obok Przedsiębiorstwo Roboty Zmechanizowane i Transportu Budownictwa Komunalnego też z Warszawy wiadomiami, że „pryjmie natchyniały do pracy na terenie Warszawy KIEROWCÓW z kategorią „C” lub II i dodaje, że: „Zapewniamy dobre warunki socjalne; wczas, wycieczki, kolonie letnie dla dzieci, obozowiska dla młodzieży, możliwość uprawiania sportu itp.” oraz, że „Zamiejscowym

zapewniamy miejsca w hotelach pracowniczych dobrze wyposażonych”.

Rozumiem — w Warszawie, jak zresztą i w innych miastach — brakuje ludzi do pracy, a zadania, jakie stoja przed przedsiębiorstwem są duże. Trzeba ich czymś przyciągnąć. Nie jeden dyrektor przedsiębiorstwa, które nie ma wielu atutów w reku skarzy się na podkupywanie pracowników. W sporcie nazywa się to kaperownictwem. Ale dzięki temu w przekonaniu niektórych ludzi rodzi się zasada: nie przejmowania się pracą; bo jak nie tu, to znajdzie pracę gdzie indziej. Wszędzie mnie wczma, z poleceniem ręki zresztą.

Najlepszy system wychowawczy — jaki chce stworzyć ZZ Pracowników Gospodarki Komunalnej i Terenowej — może w zeteknieciu się z praktyką prysnąć jak banka. Nie wiem, jakimi kwalifikacjami poza prawem jazdy kategorii „C” lub II, leżymy się kandydaci na kierowców w Przedsiębiorstwie Roboty Zmechanizowanego i Transportu Budownictwa Komunalnego, ale wiem, że dla uzyskania prawa jazdy nie trzeba uczęć się 2 czy 3 lata. A wystarczy to, aby korzystać z dobrych warunków socjalnych. Wsnomianom o tym dlatego, bo przy okazji tworzenia każdego systemu wychowawczego trzeba pamiętać, że może on nie przystawać do praktyki i wtedy nie przyniesie żadnego pożytku.

MARCIN RODAK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH WANDA KARCZEWSKA



Ta Pani powieść o nas, bez pudła, Z uszanowaniem GŁĘBOKIE ŹRÓDŁA

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan



ZNAK, STYL, KONWENCJA

W serii „Panorama”, wydanej przez „Czytelnika”, ukazują się książki opracowane przez wybitnych specjalistów, reprezentujących zasadnicze dziedziny współczesnej humanistyki — filozofii, socjologii, psychologii, nauki o języku i literaturze, historii. Każdy tom przynosi wy- bór najnowszych i najciekawszych ese- sów, artykułów, fragmentów obser- wacji...

„Znak, styl, konwencja”. Wyd. Czytelnik, cena zł 88.

OD REJA DO BOYA

Zbiór szkiców „Od Reja do Boya” jest prezentacją rozległych zainteresowań Wiktora Weintrauba. Autor, z równą swobodą zajmując się literaturą okresu renesansu i baroku, co romantyzmu i Młodej Polsce wprowadza czytelnika w bogatą problematykę owych epok przy czym nie ogranicza się tylko do spraw polskich, lecz przedstawia je bardzo często w kontekście literatury światowej.

W książce znajdziemy więc, obok studiów traktujących o zagadnieniach ogólnych, także inne, rozstraiące sprawy bardziej szczegółowe jak np. recepcja w Polsce znanych dzieł literatury obcego. Zajmuje się autor też analizą niektórych problemów, jakie narzuca lektura twórczości jednego z wybitnych artystów — od Reja, poprzez Sena-Szarzyńskiego, Słowackiego, Krasińskiego, Fredrę, Norwida — po Wyspiańskiego, Tuwima i Boya.

Wiktora Weintrauba „Od Reja do Boya”. PIW, cena zł 88.

BIAŁA GODZINA

Wśród liczonej plejady poetek Młodej Polski najwyraźniejszą rysują się indywidualności pisarki Kazimierzy Zawistowskiej Maryli Wojskiej i Bronisławy Ostrowskiej. Twórczość i życie pierwszej z nich natarczywie chętnie uśmiałem, zamknęły się w granicach tamtego okresu (1890-1902) Wolkska i Ostrowska natomiast miały osiągnąć apogeum swego rozwoju o wiele później — obie zmarły u progu lat trzydziestych.

Wolfska jednak do końca realizuje konsekwentnie raz przyjęte założenia twórcze i zmiany orientacji artystycznych oraz wydarzenia dziejowe nie rewolucjonizują jej pisarstwa. Twórczość Ostrowskiej natomiast, tej „harmonicznej” nie posiada odciśnięcia na niej wcale piętna ewolucji historycznej i fluktuacje prądów artystycznych. Droga rozwojowa Ostrowskiej wiodła od estetyzmu i stylizacji do surowej, szczerzej prostoty ostatnich — chyba najlenniejszych — tryków. Była to droga nie tylko doświadczenia rzemiosła piarskiego, ale także droga autokracji człowieka przez własną twórczość.

Bronisława Ostrowska „Biała godzina”. Wybór i wstęp Stefana Lichadskiego, PIW, cena zł 30.

MAGAZYN kulturalny Nr 7

NASZ AKT WIOSENNY



Na nową premierę w Teatrze Wielkim (dyr. B. Wodiczko) dostrzymuje słowa: co miesiąc premiera! Złożyły się dwa wybitne dzieła współczesnej klasyki: jednoaktówka C. Orffa — „Księżyc” i słynny „balet fantastyczny” I. Strawinskiego — „Ognisty ptak”. Inszeniacja, reżyseria, choreografia — Conrad Drzewiecki, przygotowanie muzyczne — Bohdan Wodiczko.

I jeszcze dwie nowe muzyczne premiery: na scenie T.15 „Taka noc nie powtórzy się więcej” Ksypka Stefanowicza w reżyserii i choreografii Barbary Fłyjwickiej, przyjęta bardzo życzliwie przez krytykę, w przeciwieństwie do musicalu z błędem ortograficznym w tytule na deskach Teatru Mu-

...Aż 8 instytucji zorganizowało tegoroczny konkurs młodych puźonistów. W Komitecie Honorowym zasiadło 10 osób, tyleż samo osóbności w komisji jurorów. Konkurs trwał 5 dni. A wzięło w nim udział aż... 17 młodych puźonistów. O tym wszystkim dowiedzieliśmy się z wydanego lat-dnie w 500 egz. programu (drukowanego przez „Pamotex”).



Sprawom literatury i języka Łodzi poświęcone było interesujące sympozjum zorganizowane przez Instytut Filologii Polskiej UL. Tow. Przyjaciół Łodzi i Muzeum Historii Miasta.

Łódzki Teatr Lalek „PINOKIO” zakwalifikował się do udziału w międzynarodowym festiwalu teatrów lalek w Bielsku-Białej (w dniach 18-23 maja). Ostatnią premierą „Pinokia” to „Dokąd pędzi konik?”, Rady Moskowej, w reżyserii i scenografii J. Michalaka, z muzyką A. Mieczki. Teatr postarał się o atrakcyjną oprawę spektaklu (dla dzieci na foyer: jarda na drewnianych kolumnach, zabawki „odpustowe”, cukrowa wata...). Prezentujemy fragment tego pełnego poezji i muzyki widowiska...



Niepostrzeżenie przemknął w Piotrkowskim Jubileuszowe X Dni Muzyki Kameralnej. Mimo obecności świetnych wykonawców, sala

KRONIKA

...zycznego... (Och! — czy raczej? Och! — Laleczko... z muzyką Bogusława Kilmczuka).

W dniach 28-30 kwietnia odbywały się w Łodzi Dni Przyjaźni, w których programie znalazły się m.in. projekcje filmowe, wystawy plastyczne, plenery ekspozycji plakatu politycznego, radzieckich czasopism i książek, oraz koncert laureatów wojewódzkiej eliminacji konkursu piosenek radzieckiej.

Z salonów i galerii wystawowych: w Klubie Dziennikarza — w ramach obchodów Dni Przyjaźni — wystawa rysunków satyrycznych „Krokodyla” (ich część ekspozycyjną także w klubie TPRP w Piotrkowie). W Muzeum Wielkonożni — wystawa plastyki amatorów — wiołknarzy. W SDK „Lokator” male formy graficzne M. Houry z CSRS. Natomiast w warszawskiej „Zachęcie” otworzył duża wystawę retrospektywną łódzki malarz Bolesław Utkin.

Łódzianin Grzegorz Caban z PWSM będzie reprezentował nasz kraj w gronie 6 Polaków na Festiwalu Arty i Piosenki im. Jana Klepury w Krylcie.

W tegorocznym II łódzkim Turnieju Chórow triumfował Chór im. S. Moniuszki pod dyrykcją P. Fonfary.

piotrkowskiego zamku nie pękła w swach. Liczba słuchaczy nie przekraczała często 15 osób! Mimo wrażenia, że niedocenione zostały i trudny ambitny organizatorów i wysokie koszty imprezy, organizatorzy zapowiadają kontynuację „Dni Muzyki Kameralnej”.

30-lecie istnienia obchodził Zespół Piosenki i Tańca Zw. Zaw. Wiołknarzy przy ZPB im. Harnama. Z tej okazji — nieco statystyki: w ciągu tych 30 lat „Harnama” obejrzało 6 mln widzów na 2475 koncertach, 45 razy zespół koncertował za granicą, w 18 krajach 4 kontynentów (m.in. w ZSRR, Wietnamie, CHRL, Mongolii, Kambodży, USA, Tunezji i Algierii). Nagrodzony m.in. Nagrodą Ministra Kultury i Sztuki, Nagrodą Miasta Łodzi i laureami polonijnych. Laureat 4 międzynarodowych konkursów tańca i wiołknarzy. Odznaczony Orderem Sztandaru Pracy I i II klasy. Brał udział w realizacji 13 filmów, występował w kraju w 87 miejscowościach. Liczy sobie dziś w zespole reprezentacyjnym 50 osób. Liczba dzieci i młodzieży — prawie 400. W repertuarze zespołu jest 78 pozycji: tanecznych Kapela Zespołu posiada 30 samodzielnych utworów. Głównym zespołu obejmują wszystkie regiony Polski. Jubileuszowy koncert odbył się 29 maja 1978 w Teatrze Wielkim. W programie rozpoczynającym się wielkim „Mazurem pokoleń” (z udziałem grup tanecznych „Harnama”) zaprezentowano 16 tańców.



Nakładem moskiewskiego wydawnictwa „PROGRESS” ukazał się przekład powieści Jerzego WAWRZAKA pt. „NA SPOTKANIE DNIA”, nagrodzonej razem z inną powieścią tego pisarza „Linia”. Nagroda Ministra Kultury i Sztuki. Warto przypomnieć, że wydana w 1973 roku przez Wydawnictwo „SLASK” powieść „Na spotkanie dnia” mówi o trudnościach zawodowego startu i adaptacji młodego inżyniera w środowisku hutniczym. „Na spotkanie dnia” J. Wawrzaka jest drugą, obok „Tristaniana 46” Marii Kuncewiczowej, polską książką, która znalazła się w tegorocznych planach biblioteki przekładów wydawnictwa „Progress”. „Na wstreczu dnia” wydano w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy.

Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy

REGAŁ PELEN BUBLI (1)

Obliczono, że straty z tytułu defektów fizycznych (technicznych) książek sięgają w skali rocznej 700-800 tysięcy złotych. Liczba ta stale rośnie. Korzystając z majowych „Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy”, chcemy co tydzień — aż do zakończenia „Dni” — systematycznie prezentować w „MAGAZYNIE” wybrane egzemplarze z naszej kolekcji książkowych bublei. Wyobraźmy sobie, że w ten sposób zachęcimy drukarzy do walki z paraliżem i brakorobstwem, a dyrekcje odnoszących drukarni do ostrych kontroli i... odpowiednich wyjaśnień.

Magazyńier T.S.



Kryształna Poznańska: REPUBLIKA TURKESKA, KAW 1977, cena 45 zł, s. 96, 121. DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 854/77, grudzień 1977 — styczeń 1978 r.

MAJ — MIESIĄCEM OCHRONY GRAFOMANA ŚLĄSK

Ustanawiając maj „MIESIĄCEM OCHRONY GRAFOMANA” nie chcemy bynajmniej występować przeciwko ogólnonarodowej manii pisania wierszy, ponieważ — jak sądzimy — grafomania szerząca się w rozległych kręgach społeczeństwa naszym wypiekiem się nie da. Jest zjawiskiem powszechnym i ponadczasowym.

Pragniemy natomiast zwrócić uwagę naszych Czytelników na pewne, występujące tu i owdzie praktyki autorów uznanych za utalentowanych i wybijających się — przynajmniej w oczach aktualnie panującej krytyki literackiej. Praktyki te mają — naszym zdaniem — często posmak zwycięskiej „chatury”. Jej motywację wyraża się nam z reguły dość niskie. Efekty „chatury” pisarzy uznawanych za czołowych zaliczają po prostu zwykła grafomania.

Taka grafomania zalicza na przykład publikację znanego poety warszawskiego JERZEGO GORZAŃSKIEGO, zatytułowana „POEZJA WYCIESKA”, a ogłoszona drukiem w rubryce „Artyzy wolne i nakładki” czasopisma „SPORTOWIEC” (nr 13, z dn. 28 III 1978 r.). Prezentujemy dzisiaj fragmenty cyklu o pikareskich „miniaturowych” poety J. Gorzańskiego.

Magazyńier T.S.

LECH

Dla Lecha tyle poclechy. Ze szczycie raczej jest w różce. A dla Mowlika taka gimnastyka. Ze Piotrek może zastąpić Szajkę bez ryzka.

STAL

Niech się Stal spręży. Niech Stal siły wyteży. Niech Stal.edu dokaże. Diabeł rogi pokaże.

LKS

Ta rozszada w płonie może wyjść bokiem. Ale dojsz do szczęścia, moj Janie. Można tylko przez męskie zbratanie.

ODRA

Odra to drużyna, co niejedno przetrzyma Czego życzy im rym swolski Oraz dzielny lud opolski.

SZOMBIERKI

Grać bez przerwy na skraju przepaści. Od tego można dostać zapęści.

ZAGŁĘBIE

Dziesiąte miejsce w tabeli. Lepsze już żeśmy widzieli.

WIDZEW

Na Bońku wronym w środkowe rejony.

TYTUŁ MIESIĄCA

Już po raz drugi nasze honorowe wyróżnienie p.n. „TYTUŁ MIESIĄCA” otrzymała redakcja „DZIENNIKA POPULARNEGO” (nr 30, „W środku Polski”, 19 kwietnia 1978 r.). Gratulujemy.

Nie drażnić kur, gdy noszą jaja...

KORESPONDENCJA

Paniom Józefowi i Bogdanowi Tison (91-193 Łódź) dziękujemy serdecznie za nadane powitania i wyrazy sympatii dla „MAGAZYNU”, a także za oryginalne prezenty: parę żywych, oswojonych pancerników (pancernik — ssak Pampasów amerykańskich, Dasypus novemcinctus Linnaeus) i dziesięciolotkę.



Pragniemy dodać, że z parka uroczych pancerników nie rozstajemy się ani na chwile. Towarzyszą nam one w kapciach na spacerach, a także przy pracy — choć ze względu na obecność różnych nadwrażliwców — na wszelki wypadek — wolny trzymać je na smyczy i zakładać obročki.

Co się tyczy dziesięciolotki, to informujemy, że została ona użyta w „Klubie Plastików”. Świadkiem zostania dziesięciolotki (w wiadomym celu) był zaprzyjany do Magazyńierem (i pancernikami) kol. red. Andrzej Majer. Na fotografii prezentujemy parę naszych przyjaciół (dla usatysfakcjonowania niedowiarów...).

MAGAZYNIER T.S.

SALONOWIEC

NA „WIELKIM SZPANIĘ”

Czego spodziewał się Salonowiec po „Wielkim szpanie”? Kierując się tytułem (mniej — jednolicie pochlebne recenzjami) i tym, co trafnie napisał w programie widowiska Andrzej Józwiak, oczekiwał Salonowiec frontalnego ataku na szpan i szpanerów, słowem, kontynuacji poglądów wyłożonych wcześniej.

Co zastał? Kilkanaście topornych, często niewybrednych dowcipów inspirowanych tzw. samym życiem i mających ambicję ogłoszenia uogólnień o naszej rzeczywistości. Ostrze tych „dowcipów” nie dotarło jednak do jakichkolwiek nowych (a równie godnych krytyki, jak komunikacyjne absurdy czy rozrywka w TV) obszarów życia.

Spodziewał się Salonowiec parodii (owego szpanu), nie bez akcentów autoironii... Wszak to na transparentach jódzkiej „Estrady” wypisano: „SHOW BUSINESS CORPORATION OF ŁÓDZ”, a lwia część rodzimych szpanerów czernie swe stale dochody właśnie z „rozrywki”. Zamiast tego „wszystkiego” wysłuchał Salonowiec powtórnym kilku starych „numerów” kabaretu „Pod Postacią” (miał rok jak niżej podpisany bawił się nimi na studenckiej „Yapie...”) i żałował, że twórcy widowiska, miast rozzejrzeć się krytycznym okiem po własnym podwórku, zapalili gwałtowną ochotę mówienia o naszym codziennym „tu i teraz” w kategoriach kosmarnego snu, z którego wybudzić się nie potrafimy. I to mówienia głosem nie — własnym, sposobami świadczącymi często o braku dobrego smaku (choćby „dzielenie się buleczką”, czy końcowa scena poloneza), dowcipami przygadkowymi, naciągany, a przede wszystkim bez związku z głównym i jedynym — jak oczekiwał Salonowiec — obiektem ataku — owym szpanem.

A największy zawód sprawiła Salonowcom muzyka: pozbawiona wdzięku, lekkości, humoru... Jak mogło dojść do

tego, że w „anty — szpanerskim” programie śpiewa się (całkiem serio!) najbardziej chyba ograny, dyskotekowy (i będący właśnie kwintesencją szpanerstwa) przebieg, przy akompaniamencie beznadziejnie „telewizyjnych” min i gestów? I gdzie tu zdrowa kpina i ironia?

Bo w gruncie rzeczy jest „Wielki szpan” składanka, której nie wyszedł na zdrowie „wszystkoizm” i gatunkowy eklektyzm, składanka która przy całej swej ambicji chłostania nas biczem satyry, pragnie schlebliwym gustom. Stąd stricte z jednej strony i... dwa (świetne, przynajmniej) dialogi z drugiej, których słuchając Salonowiec zamyślił się gorzko. Bo jest w nich prawda o nas samych, prawda nieucukrzona. Tyle, że do całej reszty „Wielkiego szpanu”, prawda ta ma się jak piasek do nosa. Zamiasz śmiać się, trzeba by raczej w tym miejscu płakać... W jednym estradowym melanzu myśleć na serio o oportunistach, obłudzie i ewanietwie, patrzeć równocześnie na góry kuper strip-teaserki plasującej w rytmie... poloneza, i słuchając natrętnego słowotoku bzikowatego „chłopobotnika” (którego portret doprowadzony został do absolutnego skretynienia) — to już było, niestety, ponad siły.

SALONOWCA, któremu oby dobry Bóg i dyr. Józwiak pozwolił obejrzeć i ocenić wyżej następane części trywotku kabaretu „Teatru Estrady”...



podpis: Dyrektora Andrzeja Józwiaka „Show Business Corporation”, rys.: St. Ibis-Gratkowski

Z ŻYCIA WYŻSZYCH SFER (FINANSOWYCH)

Udało nam się ostatnio uzyskać kilka szczegółów na temat nowoczesnej koncepcji sprzedaży biletów na koncerty estradowe — pomysłu prostego i genialnego, który — w przeciwieństwie do wynalazku Archimedeasa — zrodził się jednak nie w wannie, lecz w gabinecie mgr. Opalskiego z Wydziału Finansowego w Łodzi.

Zdaniem łódzkich finansistów ceny biletów powinny być ustalone po uwzględnieniu możliwości finansowych poszczególnych środowisk w poszczególnych regionach Polski.

A zatem ceny biletów na tę samą imprezę należy ustalać na wyższym poziomie w przypadku środowiska o wyższych dochodach, albo też na niższym — w przypadku środowisk o dochodach niższych, i to zależnie od położenia geograficznego. Biorąc pod uwagę sto-

pień zamożności mieszkańców Warszawy, bilet na recital Ewy Demarczyk kosztować miałby w stolicy np. 150 zł, w Sieradzu — 40 zł, a w Mszanie Dolnej — np. dychę.

Rodzi się tylko pytanie, jak kształtować się będą ceny biletów, jeżeli na koncercie w Mszanie Dolnej znajdzie się 10 górników, 10 docentów z Warszawy i 4 sprzątaczkę z Białegostoku? Wydaje się nam, że dla kultury byłoby chyba korzystnie, gdyby pracownicy Wydz. Finansowego w Łodzi, otrzymywali pobory pod warunkiem zaniechania wszelkich pomysłów w resorcie kultury. Współcześni tym, którzy żyją ze świadomością, że się na wszystkim zna i na wszystkim włada lepiej od innych. Życie upiwa wprawdzie wśród biednych nożeń i mitów, ale jakże łatwo wtedy się wygłupić!

LIST Z ŁODZI

W każdym szanującym się magazynie powinna być Kronika Towarzyska. W „Magazynie Kulturalnym” tygodnika „Odgłosy” nie ma czegoś takiego i pragnę swoim listem nadrobić ten istotny brak. A powodem do tego jest przysyłanie „nosli wilk razy kilka, ponieśli i wilka”. Przysłowie to odnosi się do Salonowca. Opisany na różne perypetie różnych osób i o to sam stanął... na słubnym kobiercu. Byłoby to może szczegół mało istotny, gdyby nie miejsce, gdzie się fakt ten dokonał.

Siało się to w sobotę, 22 kwietnia 1978 roku w Muzeum Miasta Łodzi, którym — jak wiadomo — zawiaduje Antoni Szram. W tym to muzeum, w sali która kiedyś I. K. Poznański chciał wyłożyć złotymi pięciurublowkami Salonowiec drzącym głosem powiedział: „tak”. Małgorzata Piłchowska nie była też opinii przeciwna i też powiedziała „tak”.

Wśród gości przyglądających się uroczystości dostrzegłem red. Jerzego Wawrzaka z małżonką, część kobieca żaloga „Odgłosów” oraz red. Lucjusza Włodkowskiego z Marcinem Rodakiem. Wdzięczny Parys namietnie to wszystko fotografował.

Na uroczystości był obecny szalejący reporter „Odgłosów” — Andrzej Makowiecki, któremu urodził się syn i z tej okazji reporter „Odgłosów” znaki tak dokładnie, że nawet kasa RSW „Prasa-Książka-Ruch” poszukiwało go bezskutecznie. Ale bądźmy dobrej nadziei. Andrzej Makowiecki na pewno się znajdzie.

Złączone pozdrowienia
Lucjan Bogusz